

PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Nr 1 (36)

tom XI 2025

K. Beśka
K. Boruń-Jagodzińska
M. Dąbrowski
S. Gibaszek
T. Kaczorowska
A. Kalinowska
D. Kornaga
J. Kuciel-Frydryszak
P. Müldner-Nieckowski
A. Nasiłowska
M. Olbromski
A. Opasek
W. Oramus
A. Patey-Grabowska
M.J. Piasecka
M.K. Piekarska
I. Schneedorfer
K.S. Schreyer
J. Seipp
L. Szaruga
J. Śleszyński
G. Walczak
W.C. Williams
Z. Zbikowski



Maciej Cisto

VI. Rapsodia patetyczna

Powróciwszy na Ratusz poszedłem do Burmistrza, aby mu złożyć sprawozdanie z wydarzeń, których świadkiem stałem się mimo woli. Byłem wzburzony, byłem dogłębnie przejęty. W ostrych słowach potępiłem postępek pana Adolfa, podkreślając, że do tak ohydnej imprezy nie powinien być wciągać obywateli miasta.

Mógł ostatecznie aktu zemsty dokonać prywatnie, bez udziału mas, które gotowe są przypisać temu czynowi Bóg wie jakie znaczenie.

— O to mu przede wszystkim chodziło! Nie znasz się, jak widzę, na rzeczy! — odrzekł Burmistrz nie podnosząc na mnie oczu. Był najwidoczniej w złym usposobieniu.

— Czy pan nie zamierza wyciągnąć z tego konsekwencji? — spytałem niepewnym głosem.

— Nie! — uciał ostro Burmistrz. — Ja do tych spraw nie chcę i nie mogę się mieszać.

— Ale tu chodzi o coś więcej...

Na to Burmistrz odpowiedział coś tak bez-

Kazimierz Truchanowski

Skan z tomu trylogii *Zatrute studnie*, Czytelnik, Warszawa 1981.

Początek VI rozdziału trzeciej powieści pt. *Zmowa Demiurgów*,

najpierw wydanej w 1948 r.



Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa
<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753
Rok VII Nr 1 (35) 2024
Adres Redakcji
<http://podglad.com.pl>
e-mail: redakcja@podglad.com.pl
00-079 Warszawa
ul. Krakowskie Przedmieście 87/89
tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89
Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelny

Zbigniew Zbikowski, Prezes OW SPP

Zastępcy redaktora naczelnego

Małgorzata Karolina Piekarska

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium

Krzysztof Beśka, Krzysztof Bielecki, Sylwia

Gibaszek, Dorota Koman, Małgorzata

Strękowska-Zaremba

Korekta

Zbigniew Zbikowski

Typografia i skład komputerowy

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Druk Mazowieckie Centrum Poligrafii
05-270 Marki, Ciurlionisa 4
<https://www.mcpdruk.pl/>

W NUMERZE

Zbigniew Zbikowski
Sól i pieprz. 3

Z ŻYCIA OW SPP

Anna Nasiłowska
Leszek Szaruga (1946–2024) 5

KRYTYKA–ESEJ–FELIETON

Grzegorz Walczak
Relacja – improwizacja jazzowa 9

Piotr Müldner-Nieckowski
Joanna Kuciel-Frydryszak:
Chłopki i Służące 13

Piotr Müldner-Nieckowski
Teresa Kaczorowska: Obława
Augustowska w oczach świadka . . . 17

POEZJA

Katarzyna Boruń-Jagodzińska
Na „Christmas time” 21

Michał Dąbrowski
miasteczko, noc w lipcu,
samotność bez ciebie, superfikcja . . 23

Sylwia Gibaszek
Życie w sieci, Dom weselny, Nikto nie
je doma, Wahadło i rozlane piwo . . 26

Piotr Müldner-Nieckowski
Irek 31

Mariusz Olbromski
Obłok zadumy, Wędrowka,
Zamek Zbigniewa Herberta 34

Alicja Patey-Grabowska
Miasto, Sąd metafizyczny,
W bezkres 37

Maria Jolanta Piasecka
Haiku, Ktoś ty? 41

Krzysztof Saturnin Schreyer
Cud natury?, Księżycowa noc,
Na brzegu, Sonet współczesny,
Zemsta poety 43

dokończenie na następnej stronie

Jerzy Śleszyński
Powracanie do dzienników,
Demony 46

Zbigniew Zbikowski
kim jest 49

PROZA – DRAMAT – SCENARIUSZ

Krzysztof Beśka
Deborah 51

Anna Kalinowska
Latająca hulajnoga 58

Dawid Kornaga
Miłość i zbrodnie
w czasie wolnym 63

Wiesława Oramus
Co nas łączy 69

Alicja Patey-Grabowska
Za postęp siup! 78

Małgorzata Karolina Piekarska
Ciastko 84

Jerzy Seipp
Miniatury optymistyczne 91

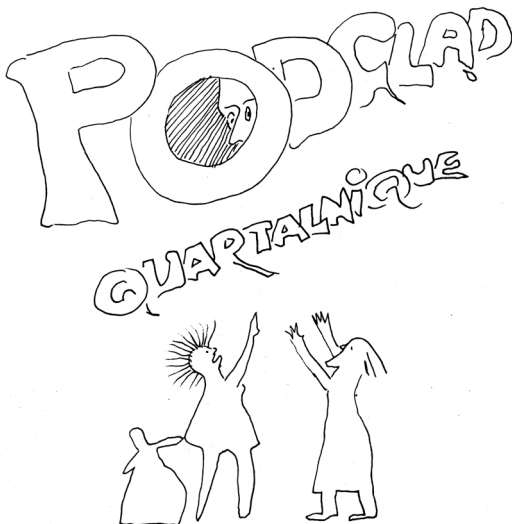
PRZEKŁADY

Katarzyna Boruń-Jagodzińska
Ivan Schneedorfer 98
Anastáz Opasek OSB 99

Piotr Müldner-Nieckowski
O polskich przekładach wiersza
The Red Wheelbarrow
Williama Carlosa Williama 101



Na okładce: Maciej Cisło
Fot. P. Müldner-Nieckowski, 2011



Rys. Piotr Wojciechowski, 2015

Zbigniew Zbikowski

Sól i pieprz

Salt and Pepper to nazwa chętnie nadawana restauracjom na obu półkulach, jak świat długi i szeroki – cokolwiek w każdym konkretnym przypadku, czy to w Warszawie, czy w Singapurze, znaczy, bo nie zawsze musi znaczyć to samo. Dosłownie oznacza oczywiście najpopularniejsze przyprawy, lecz jak pisarze, a poeci w szczególności, wiedzą, każdemu słowu można przypisać desygnat konkretny i symboliczny, wąski i szeroki, lub w ogóle nadać mu znaczenie całkiem nowatorskie, dotąd niespotykane. „Wy jesteście solą ziemi – napisano w Ewangelii według św. Mateusza – lecz jeśli sól zwietrzeje (...) na nic już się nie przyda, tylko na wyrzucenie...”. Sól jest więc symbolem tego, co niezbędne do życia, a niekiedy – w ujęciu poetyckim – wynosi nas w rejony duchowe, ku poznaniu pozazmysłowemu. Pieprz z kolei sprowadza nas na ziemię, ku temu, co mocne, emocjonalne, także fizyczne i... gorzkie. Pieprzne to także... owszem, wiemy, co w polszczyźnie znaczy 'pieprzne'.

Sól i pieprz wreszcie to symbole tego numeru „Podglądu”. Mamy w nim sporo niezwiertzałej soli, substancji uznawanej niekiedy za magiczną, przenoszącą czytelnika w świat nie do końca oczywisty, pełen znaczeń, które trzeba na nowo odczytywać, zgadywać, co poeta miał na myśli, a czasami odgadywać to, z czego on sam – pisząc wiersz – nie zdawał sobie sprawy. To cały dział poezji, wypełniony utworami koleżanek i kolegów z Oddziału Warszawskiego SPP, w różnej stylistyce i poetyce, do różnych odwołujący się podróży (rzeczywistych – fizycznych oraz wewnętrznych – duchowych) i olśnień. Mamy też – tym razem więcej niż zwykle: tak się złożyło – prozy eksploatującej fizyczność, żeby nie powiedzieć fizjologię jej bohaterów (stąd: pieprzność), obok oczywiście utworów, małych form lub fragmentów większych całości, dalekich od tych rejonów, tak samo wartych przeczytania, by wiedzieć, nad czym też członkowie naszego oddziału twórczo pracują.

Taki zresztą był pierwotny zamiar założycieli naszego kwartalnika: podglądać utwory twórców z OW SPP *in statu nascendi*, kiedy jeszcze nie wyszły poza pracownię, notesy, komputery w postaci dojrzałej propozycji

wydawniczej. Tak przedstawiał się zamysł nieodżałowanej pamięci Grzegorza Łatuszyńskiego, który ten tytuł wymyślił i w takiej postaci realizowała go kilka lat Małgorzata K. Piekarska w czasie swojej prezesury, choć szybko okazało się, że trzeba naszą ofertę poszerzyć o utwory nie tylko właśnie pisane, ale też o urywki takich, które już znalazły drogę do druku. I oto nadszedł moment, kiedy pismo wraca do źródeł – kierowanie nim, mimo że koleżeństwo zechciało mi po raz drugi powierzyć prezesurę oddziału, przekazuję w ręce Małgosi K. Piekarskiej, w nadziei, że swoimi wypróbowanymi metodami zachęci do korzystania z łamów „Podglądu” i wszystkie nadesłane propozycje znajdą na nich miejsce. I że znajdzie się na nich nie tylko sól i pieprz, ale także – tak zresztą jak w tym numerze – przestrzeń dla innych przypraw, jakim by można przypisać krytykę literacką i wybitne literaturoznawcze analizy, a niechby też wspomnienia o twórcach literatury, zwłaszcza tych z najbliższego kręgu.

Wszystko to zaś ze świadomością, że cała polska prasa literacka, także ta – w odróżnieniu od nas – dotowana, czy to przez Instytut Książki, czy przez samorządy bądź podmioty gospodarcze, wpada w dołek. Grona czytelnicze kurczą się, nakłady maleją, niezależnie od poziomu publikacji i znakomitości na łamach. Znak czasów. Cieszymy się więc, że mamy ciągle „Podgląd” i że możemy w nim publikować, wchodzimy wszak już w drugą dekadę jego wydawania.

Zbigniew Zbikowski



Aster.

Mal. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Anna Nasiłowska

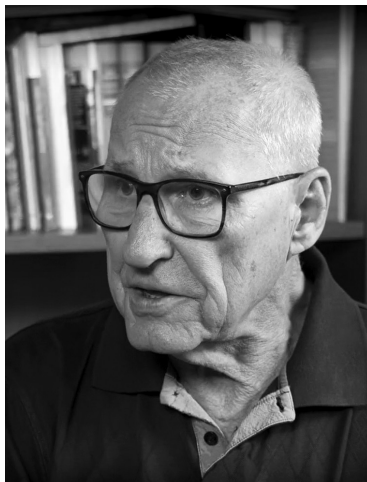
Leszek Szaruga (1946–2024)¹

Jak wszyscy, którzy znali Leszka Szarugę, myślę o Nim w ostatnich dniach bardzo intensywnie, próbując odtworzyć zasadnicze linie jego życia.

Jego niesamowita aktywność literacka w ostatnich latach była gorączkowa. Pisał, żeby jeszcze zdążyć. To były tomy wierszy, zbiory małych zapisów prozą i grube księgi esejów. Prawie co rok nowy tom. Albo dwa. Wiedział, że jego czas może być krótki. Ale wiedział o tym od dawna i spieszył się przez wiele lat. Jego dorobek jest ogromny.

Katalog Biblioteki Narodowej notuje setki pozycji sygnowane jego pseudonimem, który stał się ważniejszy od nazwiska.

Szaruga był z pokolenia 1968. Zazwyczaj wolę używać określenia Nowa Fala. Ale pokolenie 68 to coś jeszcze, odsyła nie tylko do polskich realiów, do zbuntowanej, młodej Europy, która pisała na murach „Bądźmy realistami – żądajmy niemożliwego”. W Polsce chodziło o bunt polityczny, ale także o obyczajowe zmiany, o to, żeby nie być sztywnym reprezentantem swojej pozycji społecznej, ale zawsze kimś luźnym, wiecznie wolnym, otwartym. Żeby zasypywać różnicę między prywatnym i ponadprywatnym. Hippie na polską miarę. Bycie trochę hippie w nim tkwiło, mimo lat, a nawet mimo profesorskiego tytułu. Zaczął nosić marynarki, ale nie sprofesorzał. Nie celebrował siebie. Skracał dystans, czasami niebezpiecznie.



Leszek Szaruga, 2024 r.

Fot. Piotr Müldner-Nieckowski

¹ Rozszerzona wersja przemówienia wygłoszonego w Warszawie na pogrzebie Leszka Szarugi, właśc. Aleksandra Wirpszy (ur. 28 lutego 1946 w Krakowie, zm. 15 października 2024 w Warszawie), syna pisarki i tłumaczki Marii Kureckiej i poety Witolda Wirpszy.

Potrafił też powiedzieć ostro, jeśli uznał, że się należy. Nosił też w sobie jakieś zadry, więc to nie było „Tak-tak, nie-nie”.

Gdzieś na Facebooku mignęło mi zdjęcie Leszka z długimi włosami. Takiego nie znałam. Znałam nieco późniejszego. Pasowały do niego jeansy i taka pseudowojskowa, traperska kurtka. Pamiętam Leszka w szatni w Pałacu Staszica jak ubiera się w czarny płaszcz – klasyczną dyplomatkę. I mówi do mnie, ni to kpiąco, ni to autoironicznie: „Zobacz, taki sobie płaszcz na pogrzeb tatusia sprawiłem...”. A więc po roku 1985, gdy Witold Wirpsza zmarł w Berlinie. Najpierw Leszek dostał odmowę paszportu. Potem pojechał. Ten płaszcz musiał być znacząco lepszy od wszystkiego, czym wtedy dysponowaliśmy w kraju.

W tym czasie, w połowie lat 80., po stanie wojennym a przed przełomem transformacji, Leszek jakoś usiłował umieścić się w życiu naukowym. Oczywiście, współredagował „Wezwanie” i „Puls”, ale chodziło o oficjalne miejsce. W Instytucie Badań Literackich nie było prosto i Leszek ze swoim krytycznoliterackim piórem musiałby dokonać jakiegoś ogromnego wysiłku, bo akurat drogi nauki i krytyki rozchodziły się coraz bardziej, a on chyba nie miał przekonania, że to dobrze. Wiedział wtedy, że chce wyrazić doświadczenie ideowe swojego pokolenia, naznaczone Marcem 1968. Zamknął je formułą „walki o godność”.

Poza tym, co było zupełnie proste, dużo było w jego życiu dróg zawiłych, odrzuconych, poplątanych. Szukania realnego miejsca. Okres berliński, wykładanie na różnych uniwersytetach w Niemczech, a potem powrót – i kolejny uniwersytet – w Szczecinie, gdzie był tak bardzo potrzebny. A potem inne miejsca, znowu szukanie. Częstochowa, Warszawa.

Uczył na moim Kursie Kreatywnego Pisania, na początku. Jeden z roczników go pokochał. Mocno na nich wpłynął. A następny – zakwestionował. Nie zrozumieli się, odrzucili jego luz.

Był przez jedną kadencję prezesem Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Składając funkcję powiedział, że przeprasza, nie wiedział o sobie tego, że jego zdolności organizacyjne są tak nikłe. Niedługo potem się wypisał. Rządziły nim odruchy niezgody.

Musiał cierpieć, że tak niewiele to wszystko znaczy.

Leszek był przykładem człowieka dawnej opozycji z czasów PRL, który jednak odnalazł się w nowym czasie po 1989. Nie czekała na niego żadna gotowa rola, żadne stanowisko ani droga kariery. On musiał sam dla siebie to wymyślić.

To ważne, żeby mieć kolegów. Od starszych kolegów można się bardzo wiele nauczyć. Wszystkie zajęcia literackie, zadania krytyczne i pisarskie sprowadzają się w gruncie rzeczy do samotnej pracy, co stymuluje indywidualizm. I raz znosi się to uprawianie samotnej partyzantki lepiej, raz gorzej, a czasami – jest całkiem źle. Potrzebny jest jakiś kontrast.

Nie wiem, czego konkretnie nauczyłam się od Leszka Szarugi. Może chodzi o to, że on się w ciągu ostatnich trzydziestu lat nieustannie zmieniał i że tak wolno, a nawet trzeba. A może o pewien luz typowy dla niego w relacjach osobistych. Jednak w pewnych momentach od żartu blisko było u niego do czegoś bardzo serio i to też jest dobrze, bo nie można być zawsze miłym i dowcipnym.

Bardzo podziwiałam Leszka Szarugę za to, że długi czas prowadził pewien rodzaj kroniki poetyckiej. To była tytaniczna praca. Mamy bardzo wielu poetów, ale niewielu rzetelnych czytelników, a jeszcze mniej takich, którzy potrafią zdać sprawę ze swoich obserwacji po lekturze tomików wierszy. To jest też rodzaj samotnej partyzantki i Leszek uprawiał ją przez lata, publikując w wielu pismach przeglądy na podstawie swoich lektur. Tworzył w ten sposób własną kronikę literacką. Starczało mu na to sił, bo przecież opublikował ważne książki, a to też wymaga czasu i pracy. Ale najwyraźniej – starczało i jednego, i drugiego, i na jedno, i na drugie.

Chyba najbardziej na niego wpłynęła „Kultura” paryska, w której pod koniec istnienia tego pisma redagował dział poezji. Gdy „Kultura” przestała się ukazywać, przedłużeniem jej misji w myśleniu o wschodzie stała się „Nowa Polska”. Pisał o relacjach polsko-niemieckich i o Europie środkowo-wschodniej. I o literaturze XX wieku, o dorobku „Kultury” i Giedroyciu. I o życiu, o nas.

W ostatnich latach – o Ukrainie. W jego książce *Ukraiński kalejdoskop*, jak wiele jego tomów w ostatnim okresie wydanej w Wydawnictwie Conviwo (2022 r.), znaleźć można taką opinię:

Niewątpliwie w biegu historii relacje między Polską, Rosją i Ukrainą zaplatają się w skomplikowany węzeł zależności, którego rozwikłanie wymaga wyjątkowej uwagi i ostrożności. O ile jednak dla Moskwy już sama suwerenność Ukrainy stanowi casus belli, o tyle dla Warszawy jest jednym z fundamentalnych zagadnień «sprawy polskiej»: jej niepodległość, co wielokrotnie podnoszone było w kręgu paryskiej «Kultury», jest w zasadzie warunkiem utrzymania niepodległości Polski.

Rozpoznania polityczne „Kultury”, dotyczące spraw wschodnich, potwierdziły się po 24 lutego 2022.

Leszek żył intensywnie i dawał innym bardzo wiele z siebie.
A czasami brał. Pisał gorączkowo. Aż upadł.

8.11.2024

Anna Nasiłowska



Pień i jego słoje.
Fot. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Grzegorz Walczak**Relacja – improwizacja jazzowa**

30. Międzynarodowy Festiwal Plenerowy Jazz na warszawskiej Starówce rozpoczął się niezwykle udanym, inauguracyjnym koncertem fortepianowym Adama Makowicza – tak by należało rozpocząć tę moją relację. Ledwo zdążyłem wrócić z wielkiego świata, z hiszpańskiej i francuskiej krainy Basków, gdy wielki świat dogonił mnie w Warszawie, i to jak wielki!

Iwona i Krzysztof Wojciechowscy – twórcy i nieustająco aktywni organizatorzy tej jazzowej imprezy, która już na stałe wpasowała się w pejzaż naszego Starego Miasta, są nie tylko wielce sprawni w prowadzeniu tego muzycznego festiwalu, ale odznaczają się niezwykłą umiejętnością w doborze i pozyskiwaniu wielkich gwiazd jazzowego świata. Nie będę wymieniał nazwisk artystów, którzy się przez tych trzydzieści lat przewinęli przez letnią scenę muzyczną na naszej Starówce, bo chyba znacznie łatwiej byłoby wymienić tych, którzy nie wystąpili.

Od pewnego czasu tradycją jest, że tak jak i w ten piątek, dzień przed pierwszą lipcową sobotą, zbieramy się w koncertowej Sali Lutosławskiego w gmachu Polskiego Radia na Woronicza, by wysłuchać najwspanialszych, większych lub mniejszych zespołów jazzowych. W lipcowe soboty w ramach Festiwalu grają one regularnie na Rynku Starego Miasta. Wyraziłem się nieścisłe, bo w ten piątek żaden zespół ani żadna orkiestra nie zagrały. Kiedyś, w moich czasach szczeniackich, uważałem, że w sali czy to operowej, czy w filharmonii, musi przywalić, zagrznieć, huknąć potężna orkiestra, by był prawdziwy koncert, żadni tam kameraliści. A tu tymczasem scena prawie pusta – jeden fortepian. Co może jeden fortepian? Zaraz wyjdzie jeden pianista, a nas – jak nigdy dotąd – masa czelnych fanów. Koncert nie mógł się zacząć o czasie, bo choć już dawno wszystkie miejsca w niemałej przecież sali zostały zajęte, tłum wciąż szturmował. A przecież nie miała to być Adel ani Madonna, ani Taylor Swift, nie mieli tu meczu rozegrać Iga Świątek ani Carlos Alcaraz. Sala Witolda Lutosławskiego nie jest też stadionem, na którym można sfaulować Roberta Lewandowskiego albo gdzie pięknie zapłacze po nieudanym karnym słynny Portugalczyk.

Po co więc tu idą, po co się tu pchają? I żeby była wielka orkiestra, która przygrzmoci, łupnie, aż żyrandole pospadają...

Może to nie ta sala.

Wszyscy już odkaszlęli, nastała cisza, tylko Krzysio Wojciechowski przed pierwszym rzędem schylony przebiega. Czyżby mu się żona gdzieś zagubiła? A bez Iwony nic się nie uda, nawet nie może się zacząć. Ależ nie – są już razem na scenie, kłaniają się, coś żwawo zapowiadają, są wzruszeni, napięci, choć to ukrywają, i artystycznie podnieceni. Oni naprawdę przeżywają to, co robią. Prawdziwi ludzie oddani misji. Dziwne, że muszą używać patosu, by opowiedzieć o tych normalnych, życzliwych ludziach, którzy kiedyś pokochali jazz. Tyle mają do zapowiedzenia, tyle do opowiedzenia... a co tu gadać? Wystarczy przecież powiedzieć: Adam Makowicz.

Pewnie miało się stawić wielu tuzów, wiele smyczków, skrzypaczki, bębniarze, kila fagotów, może ze Stanów albo z Izraela, może z Bogoty albo z Palermo, albo... a skąd bym miał wiedzieć? A tu nikogo. Pustki. Nawet artystycznie zwichrzone lwie fryzury dyrektorstwa Wojciechowskich ze sceny zniknęły. I nic, zupełnie nic. Tylko spokojnym, niespiesznym krokiem przemierza scenę jakaś drobna chudzina, gramoli się na stołku przy wielkim czarnym fortepianie. Mówią, że to maestro. Jak on sam da sobie radę z takim opasłym instrumentem? Coś powiedział, coś brzdąknął. Aha, to już się zaczął koncert.

No tak, proszę Państwa, początkowo spokojnie, z grzeczną aprobatą wysłuchałem jakieś amerykańskie standardy. No, owszem, gra zgrabnie. Ale to wciąż tylko jeden fortepian. I wydawało się, że ten sympatyczny, skromny pan z bardzo szczerym, łagodnym uśmiechem, niby poważny, bo z wyraźną siwizną, gra sobie z zadowoleniem, widać, że lubi sobie grać. Zagra nam pewnie coś jeszcze, ukloni się i pójdzie sobie. Ale nie – ten pan stopniowo zamienia się w Pana. Z wielką swobodą po jakimś wstępie, po prezentacji podstawowego motywu zaczyna płątać wątki, źle się wyraziłem, zaczyna je zaplatać. Rozpuścił palce po klawiaturze, trzymając rytm jak dobry woźnica lejce i coraz to pogania gniade swego zaprzęgu, a nawraca, a tych paluchów chyba mu przybyło, co on nimi wyprawia! Gra już nie jeden fortepian, ale chyba pięć.

Makowicz, no tak, tak... coś słyszałem. Mówili, że niezły. Ale tam niezły! On się nagle przemienił w bestię, chociaż wcale tego łagodnego uśmiechu na swej sympatycznej twarzy nie zgasił. Cóż, może nie uwierzycie. Im dłużej grał, rozpędzał się coraz bardziej. Nawet gdy zwalniał, to tylko po to, by jedną ręką przytrzymać melodię kompozytora, a drugą wypuścić ten

swobodny galop. Przebiegi, falujące nawracające przebiegi, po klawiszach, po naszych uszach, po naszych duszach, zwłaszcza tych, którzy je mają. Zobaczyłem, pewnie mi nie uwierzycie, jak maestro zaczął rosnąć, niby tytułowy *Wiatrodmuch* w mojej bajce dla dzieci, co się im potem śnił po nocach, zaczął się wydłużać, a rosnąć, niewiadomym sposobem podnosił rozśpiewany fortepian. Fortepian się robił malutki, kurczył się przy pianście, więc Pan Adam już z zupełną łatwością unosił posłuszny mu instrument. Wyraźnie widziałem, jak on, pan swego fortepianu i ten czarny wieloryb dźwięków, zaczęli lewitować. Ze środka tego fortepianu, pewnie mi nie uwierzycie, zaczął wyłazić drugi fortepian, a z tego drugiego trzeci – jak ruska baba w babie. Jeden grał w drugim, a ten drugi już swymi dźwiękami nakładał się na granie obu pozostałych. Fantasmagorie. Wcale nie piłem. Przyjechałem z żoną swoim samochodem. Tej nocy nawet dobrze spałem, więc na koncercie nie potrzebowałem usnąć. To nie był sen. Ale kiedy się Mistrz rozpanoszył na scenie, poczułem, że mnie wozi, pięknie mnie wozi. Starąłem się zapanować nad moimi nogami, żeby mi nie przebierały, nie przytupywały do rytmu, żeby mi nigdzie nie polazły za tym wszechogarniającym miarowym pulsowaniem, żeby mi szyja głową tak w takt nie kiwała.

Grały te fortepiany, ale nie tylko fortepianem, wszystkimi instrumentami i głosami ludzkimi, i kosami na polu, i lasami na wietrze, wszystkie jednak w tym samym Makowiczowym rytmie. Już nie wierzyłem, że te różne utwory, te amerykańskie, afrykańskie, angielskie, czy polskie, ludzkie czy anielskie są jedynie kompozytorów, którzy się pod nimi podpisali. Zacząłem rozumieć, co to jest improwizacja jazzowa. Najpierw skromnie maestro odtworzył sobie kawałek jakiegoś gościa, kawałek znaczy numer, ale potem mu pokazał język, potem na dłuższą chwilę całkiem uciekł, by dalej sobie hasać, po swojemu, po Adamowemu. I to mnie właśnie tak migotliwie woziło, jakby świetliste sanie, co sobie po chmurkach fruwały i świecą tymi wymyślonymi przez wirtuoza barwami dźwięków. Ale to nie było tylko tak sobie ad hoc zmyślane. Może zresztą ad hoc, tyle że przebiegle, z jakąś ukrytą dyscypliną. Właśnie – w tym jest cały sekret, w tym jest ta cała magia wirtuozerii improwizatora. Improwizacja w jazzie to nie to, co ślina komu na język przyniesie. Połączenie w czasie, w rytmie, w uderzeniach serca tej niby pełnej swobody, z tą niemożliwą, upartą do granic możliwości dyscypliną, dyscypliną czasu, przebiegu, paraleli dźwięków, ich umiejętnie zgranych ze sobą oryginalnych zestrojów, ale płynnie, niemechanicznie, niesztucznie, niby jak w zegarku, a nie jak w zegarku. Przecież

to wszystko można też było odnaleźć na twarzy artysty. W pewnej chwili zaprosił nas do swoich osobistych spacerów jazzujących. Usłyszeliśmy wyborny „Satynowy las”, po którym zawsze byłbym gotów przechadzać się i zbierać rydze i prawdziwki muzyki pana Adama.

Kiedy zjechał już z tych wysokości, kiedy wielopalczasty, długopalczasty, wielofortepianowy, wielodźwiękowy powrócił do nas, tam, gdzie cały czas siedział, choć lewitował, znów zobaczyliśmy tego zwyczajnego, poczciwego człowieka, skromnego, zwyczajnego, bez żadnej wyuczonej lub wysublimowanej pozy.

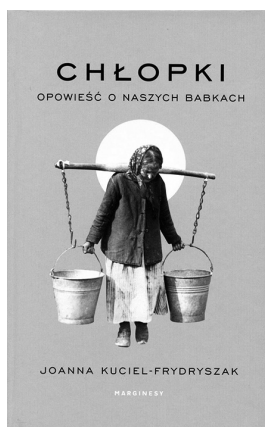
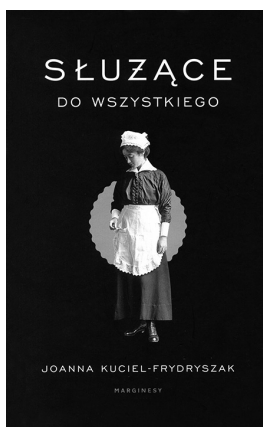
Już wiedziałem, co to jest prawdziwy koncert. I też już wiedziałem, że nie jest ważne, ilu muzyków wchodzi na scenę i zasiada przy swoim instrumencie, tylko to, co oni z tym instrumentem zrobią i co potrafią zrobić z nami. Stałem jak wszyscy i biłem brawo jak opętany.

Grzegorz Walczak

Piotr Müldner-Nieckowski

Joanna Kuciel-Frydryszak: Chłopki i Służące

Dwie książki o dwóch sąsiednich typach społecznych głównie pod koniec XIX i w pierwszej połowie XX wieku. Był tych warstw od setek lat się za-
 zębiał, ale nie tylko wzajemnie, bo także z funkcjonowaniem ludzi usado-
 wionych wyżej i także na poziomie społecznym najniższym. Warto to ze-
 stawiać także z Kacpra Pobłockiego *Chamstwem*, ale i pracami historycz-
 nymi ogólniejszymi, które nie zagładają do domów mieszkalnych, knajp,
 teatrów, do chat i na pola. Dotąd jeśli już, to spotykaliśmy dzieła o oby-
 czajach, a to trochę za mało. Wypada tu wspomnieć też o tekstach XIX-
 -wiecznych i trochę późniejszych, choćby Feliksa Konecznego (1862-1949),
 który na początku XX wieku podejmował próby o charakterze syntetycz-
 nym, zebrane w XXI wieku w książeczce *Konserwatyzm chłopski* (Miles,
 Kraków 2022). Były raczej brane z naukowej pamięci i z przekonań niż
 z dokumentów, jak to jednak czynił właśnie Koneczny w innych swoich
 słynnych dziełach; ale to trochę dawne dzieje i dawne narzędzia badawcze.



Joanna Kuciel-Frydryszak:

Służące do wszystkiego. Wydanie drugie. Marginesy, Warszawa 2022. Stron 416.

ISBN Oprawa twarda 978-83-66500-69-3, miękka 978-83-66140-59-2.

Chłopki. Opowieść o naszych babkach. Marginesy, Warszawa 2023. Stron 504.

Oprawa twarda. ISBN 978-83-67674-31-7.

Joanna Kuciel-Frydryszak posługuje się głównie metodami dziennikarskimi, tyle że solidnie wzbogaconymi o komparatystykę socjologiczną, psychologiczną i historyczną, o poszukiwanie środków obiektywizujących opisy wyjmowane z dawnych źródeł.

Niektórzy recenzenci stawiają tym książkom zarzut, że wyrwywają tematykę z kontekstu, że nie zestawiają życia ludzi tzw. „prostych” czy „z ludu” z mentalnością i życiem tych z warstw wyższych. Usadowieni między społecznym dnem a klasą „panów” cierpieli na rygorystyczne ich tam pozostawianie, bez szansy ani na rozwój osobisty, ani na lepsze życie – zamiast harówki od rana do wieczora, braku miejsca do spania czy rodzenia dużej liczby dzieci bez podstawy materialnej i bytowej, a przy tym dodatkowo w konflikcie z postawami stanu męskiego. Chodzi o zestawianie mentalności tych ludzi, zwłaszcza kobiet, z mentalnością „tamtych wyżej”, tak zwanych „panów” i z przyczynami obserwowanych zjawisk. Tego trochę brakuje, niektórym krytykom podsuwa myśl o zbyt słabym poszukiwaniu w tych książkach obiektywizmu dla kreślenia wizji.

Pamiętam z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych analfabetki, które zarzynane pracą w polu na wsi albo w domu miejskich obywateli, tak zwanych „dyrektorów” lub „pułkowników”, były społecznie „nikim”. Mieszkały jeszcze w kurnych chatach, i to blisko Warszawy. W pamięci mam taką „kurną” wieś Kukłówkę koło Grodziska Mazowieckiego, gdzie ongi mieszkał wielki malarz Józef Chełmoński (podobno pierwaj porzuciwszy żonę Marię z d. Szymanowską, a potem na co dzień korzystając z gospodarności długowiecznej pani Malinowskiej, a może Wiśniewskiej, o której dzisiejsi biografści raczej zapominają).

Toż to był wiek XVIII przetrwały do XX, łącznie z co dwadzieścia lat pogłębianą studnią. Ale jak się z tymi ludźmi usiadło na chwilę i porozmawiało, nagle okrywała się ich wiedza, mądrość, umiejętność stosowania logiki i statystyki. Co za pamięć! Czasem w nędznej, by nie powiedzieć nędzarskiej chałupie na ścianie gdzieś pod sufitem drzemał zasłonięty serwetą wizerunek dawniej używanego herbu, kiedy indziej w kącie stojąca srebrna waza dana przez „pana z panią” w nagrodę za pięćdziesięcioletnią posługę w ich podwarszawskim domu.

W dzieciństwie wraz z rodzeństwem spędzałem lato na wsi albo w małych miasteczkach, typu Miechów czy jeszcze mniejszy Opatowiec, Dubiecko, Białobrzegi (radomskie), Zakopane, Stasikówka, Chłapowo (rok 1952, maksymalnie trzy osoby na plaży, nikogo więcej), dokąd wozili nas na wakacje rodzice, i gdzie stawaliśmy się członkami tamtych społeczności.

W Kuklówce drogi wyłącznie piaszczyste i same kurne chaty, trzydzieści kilometrów od Warszawy. Po powrocie do Warszawy mówiliśmy w domu i na podwórku jeszcze przez tydzień gwarą góralską, śląską, mazowiecką czy po kaszubsku.

Dla nas to była wielka szkoła, bo dzięki temu wiedzieliśmy, że ludzie to nie tylko nasi sąsiedzi w Warszawie, ale także analfabeci spod Pucka, z Okęcia czy okolic Otwocka, którzy wcale nieźle mają poukładane w głowie. Dopiero ich dzieci, nasi koledzy szkolni, umiejący się podpisać imieniem i nazwiskiem, szli na studia, co nie znaczy, że są mądrzejsi od poprzedniego pokolenia.

Skąd swoją umiejętność oceniania bytu brali ci niewykształceni i przez los bezwzględnie ustawieni na niskiej pozycji socjalnej? To dzisiejsi wyborcy, którzy całkiem dobrze wiedzą, na kogo warto, a na kogo nie należy oddawać swojego głosu i niekoniecznie z powodu koloru oczu kandydata na prezydenta, tylko z powodów merytorycznych. Chętnie bym powiedział, że byli „z tym urodzeni”, mieli to w genach, w swoistym sprycie życiowym. A co do tego ostatniego, to szczególnie kobiety – nie wzięły tego ze szkół, których nikt im nie polecał, gdyż były potrzebne do wymiatania śmieci, gotowania, prania, a i karmienia cudzych niemowląt własną piersią. Może mądrość brały z obserwacji i rozumowego przetwarzania tego, co robią i mówią ci ustawieni lepiej, „panowie i panie”?

Komplikacja ciężkiego życia służących i chłopek była ogromna, a przecież biologicznie były ludźmi jak wszyscy inni i prócz zgody warstwy wyższej nic im nie brakowało, aby się bez szkody dla siebie i dla owej klasy do niej przenieść. Dzisiaj widać, że to było mentalnie i społecznie możliwe, a jednak się nie dokonywało. Dlaczego? Czy to tylko tzw. wyzysk i pogarda? Nie sądzę. Nie tylko. Niekoniecznie to. Typ kultury? Może najprędzej. Pytań jest więcej, na przykład psychologicznych, bo nie jedynie systemy społeczno-państwowe blokowały postęp. Może oni sami też wytwarzali mechanizmy stagnacji? Zadajemy sobie takie pytania, mamy do tego prawo, ale czynmy to ostrożnie, bo łatwo zablądzić w krainę fałszu.

W zestawieniu ze znanym *Chamstwem* prof. Pobłockiego malowany od strony warstw niższych łączny obraz tamtych czasów jest nie tyle niewesoły, ile wręcz tragiczny. Jednak trzeba mieć przy tym sprawiedliwe oko dla klasy „panów”, tych, którzy zarządzili społeczeństwem (państwem, jedzeniem, wojną i pokojem) i o których zarówno historia, jak i literatura artystyczna traktowały głównie, stąd znamy ich lepiej i posługujemy się stereotypami na ich losie utworzonymi. Trochę brakuje takiej literatury faktu,

która zestawia to wszystko w całość pojęciową, jednak każdy przyzna, że zadanie stworzenia takiej perspektywy nie może być łatwe.

Nie podlega dyskusji to, że wymienione tu tytuły Joanny Kuciel-Frydryszak są napisane fascynującym, wciągającym stylem, którego nie powstydziałaby się najlepsza tzw. fikcja, czyli proza artystyczna. To nie tylko radość dla czytelnika, ale również dla osoby, która chce odżyć przy lekturze i pójść w górę nad odbiegające tonem i mądrością kryminały, romanse i prostackie sensacje.

Piotr Müldner-Nieckowski

Piotr Müldner-Nieckowski

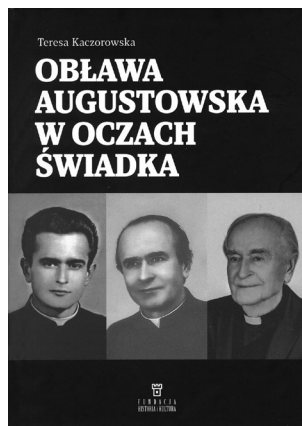
Teresa Kaczorowska:

Obława Augustowska w oczach świadka

Autorka znana i ceniona jako prezes Związku Literatów Polskich na Mazowszu, jest pisarką, poetką, doktorem nauk humanistycznych, badaczką historii najnowszej, niestrudzoną tropicielką prawdy o naszych dziejach i korzeniach. Współpracuje też z innymi organizacjami, między innymi ze Stowarzyszeniem Pisarzy Polskich. W trzech książkach rozszerzyła spektrum oglądu dramatycznej sprawy Obławy Augustowskiej. Wydarzenia osławionego i jako politycznie niewygodny fakt historyczny przez długie dziesięciolecia zsuwanego w niepamięć. Po 1989 roku odsłoniętego, ale nadal zbyt słabo, bo z rzadka omawianego, tym razem nie z powodów ideologicznych, lecz historyczno-źródłowych i zarazem na skutek swoistego „przedawnienia”. Coraz mniej świadków żyje.

W pracach Teresy Kaczorowskiej szczególnie ważne są więc dzieje ofiar i rodzin ofiar tej największej powojennej zbrodni komunistów. W roku 2015 niezależnie od prac ściśle literacko-artystycznych, Teresa Kaczorowska wydała w Warszawie rzecz pt. *Obława Augustowska*, później przełożoną na język angielski i w 2023 wydaną w USA pod tytułem *The Augustów Roundup of July 1945*. W 2017 ukazała się w Warszawie książka pt. *Dziewczyny Obławy Augustowskiej* i w 2020 tamże praca również o kobietach, ofiarach Obławy – *Było ich 27*. Teraz mamy książkę czwartą.

Teresa Kaczorowska:
Obława Augustowska w oczach świadka.
Książd Stanisław Wysocki, orędownik
prawdy o Obławie Augustowskiej.
 Fundacja Historia i Kultura.
 Warszawa 2024. Stron 272.
 Oprawa twarda.
 ISBN 978-83-9711-730-3



Niełatwo pisać o bohaterach Obławy Augustowskiej, aby nie wpaść w monotony rytm jakiejś hagiografii, a jednocześnie zachować styl prawdziwej opowieści o historii nieustannie pomijanej przez oficjalnych badaczy, z jakby wciąż łagodzoną grozą zbrodni komunistycznych, dokonanej niestety przy udziale polskich pomocników „wyzwolenia” naszej ojczyzny.

Celem operacji nazwanej od miejsca jej dokonania Obławą Augustowską było rozbitcie oddziałów partyzanckich operujących na pograniczu polsko-litewskim – w Puszczy Augustowskiej i na terenach do niej przyległych. Zwyczajem komunistów było poszerzanie grupy „winnych”, przez włączanie do niej wszystkich, którzy pracownikom ruskiej NKWD i polskiej bezpieki nawinęli się pod rękę. A o to było łatwo ze względu na istniejący tam silny opór przed zaborem Polski.

Jak pisze Marcin Markiewicz na stronach IPN:

„...zarówno powiat suwalski, jak i augustowski po opuszczeniu przez frontowe wojska Armii Czerwonej w styczniu 1945 r. zostały praktycznie opanowane przez podziemie niepodległościowe. Partyzantka zwalczała terenowe agendy nowej władzy i komunistyczny aparat represji. W powiecie suwalskim do końca maja 1945 r. rozbito siedemnaście z osiemnastu posterunków MO, z czternastu zarządów gmin – działały tylko dwa. Rosyjski badacz Nikita Pietrow sugeruje, że – oprócz wzmożonej aktywności podziemia – przyczyną sowieckiej operacji mogło być zabezpieczenie przejazdu Józefa Stalina na konferencję w Poczdamie (...)

Obława Augustowska została przeprowadzona siłami 50. armii 3. Frontu Białoruskiego oraz 62. Głównego Zarządu Kontrwywiadu *Smiersz* gen. mjr Iwan Gorgonow oraz szef Zarządu Kontrwywiadu 3. Frontu Białoruskiego gen. por. Paweł Zielenin.

W operacji brali udział również funkcjonariusze lokalnych struktur polskiego komunistycznego aparatu bezpieczeństwa i milicji oraz ich tajni współpracownicy. Ponadto w powiecie suwalskim zaangażowane zostały dwie kompanie I. Praskiego Pułku Piechoty WP (...)

21 lipca 1945 r. szef Głównego Zarządu Kontrwywiadu *Smiersz* Wiktor Abakumow informował ludowego komisarza spraw wewnętrznych Ławrientija Berię, że podczas obławy zatrzymano 7049 osób, z których po przesłuchaniu (tzw. filtracji) 5115 zostało wypuszczonych. Aresztowanych Litwinów przekazano organom NKWD LSRs. Z tego 592 Polaków nigdy nie wróciło do domów – zostali zamordowani i pochowani w nieznanym miejscu¹.

¹ <https://ipn.gov.pl/pl/historia-z-ipn/103116,Oblawa-Augustowska-materialy-IPN.html>

Najnowsza rzecz Teresy Kaczorowskiej o Obławie Augustowskiej dopełnia jej trylogię do postaci solidnego tetraptyku, ważnego dlatego, że pokazuje nie tylko oblicze, sens i tragizm sowiecko-komunistycznej zdrady, ale i jej drugi, ludzki plan, a następnie dalszy ciąg tej historii, która bynajmniej nie skończyła się na policzeniu i oplakaniu ofiar. Do dzisiaj nie można się od znawców i dziennikarzy doprosić głębszych informacji na temat Obławy z 1945 roku i jej poszerzonej interpretacji.

To jakby dalszy ciąg antypolskiej choroby, niezrozumienia, czym było przejście Polski przez Rosję Sowiecką po Rzeszy Niemieckiej i jak do dziś nie zawsze skutecznie próbujemy walczyć z tą patologią.

Bohater nowej książki Teresy Kaczorowskiej pt. *Obława Augustowska w oczach świadka*, późniejszy ksiądz prałat, proboszcz wielu parafii katolickich i krzewiciel prawdy historycznej o wojennych i powojennych dziejach Polski, urodził się 1 marca 1938 roku², a więc w momencie dokonywania zbrodni augustowskiej miał zaledwie 7 lat. Już na początku życia stanął zatem wobec skutków tej tragedii.

W lipcu 1945 na jego oczach zabrano i bezpowrotnie wywieziono rodziców i dwie siostry. Został na zawsze sam, już bez nich. Jako chłopiec musiał znosić liczne upokorzenia, był dyskryminowanym synem „rodziny bandytów”, ale tym bardziej nabierał sił do walki o prawdę i o upowszechnianie o niej wiedzy w jak najszerszym gronie najpierw krewnych, kolegów, znajomych, potem wiernych Kościoła. Stał się charyzmatycznym duchownym, działaczem organizacji społecznych, „Solidarności”, Sybiraków, Akowców.

Nękania przez władze PRL-u nie ustawał w głoszeniu słowa pociechy i nadziei, że pewnego dnia nastąpi przełom i Polska będzie wolna, a słowo o Obławie stanie się równie ważne jak wiedza o tragedii katyńskiej. Próbowano z nim walczyć, próbowano zrobić go we współpracę z władzami komunistycznymi, ale z tym człowiekiem podobne zagrania nie mogły się udać.

¹ ²Ksiądz prałat Stanisław Wysocki zmarł w wieku 87 lat w Suwałkach 7 listopada 2024 r. wkrótce po napisaniu niniejszej recenzji, która pierwotnie w nieco skromniejszej wersji ukazała się w dwutygodniku internetowym <https://Pisarze.pl>. Mirosław R. Derewońko w serwisie <https://4lomza.pl> pisze, że o omawianym tu tomie ks. Wysocki w lipcu 2024 r. powiedział: „Każde zdanie w tej książce jest dla mnie ważne, bo przypomina mi fragmenty mojego życia”.

Uroczystości pogrzebowe trwały dwa dni. W piątek 8 listopada odbyła się msza święta żałobna pod przewodnictwem J.E. ks. bpa Dariusza Zalewskiego, biskupa pomocniczego Diecezji Elckiej, a w sobotę 9 listopada msza pogrzebowa pod przewodnictwem J.E. ks. bpa Jerzego Mazura, Biskupa Elckiego z kazaniem okolicznościowym J.E. ks. abpa Józefa Michalika, Arcybiskupa Seniora Archidiecezji Przemyskiej i z udziałem autorki książki.

Zarówno wspierany przez Kościół, jak i dający wsparcie Kościołowi, a więc wiernym i duchownym, zawsze skromny i sumienny ksiądz prałat, a przy tym świetny mówca i organizator, obecnie duszpasterz ogólny w parafii rzymskokatolickiej pw. św. Aleksandra w Suwałkach, swoim życiem i postawą daje dowód, że warto być sobą, po prostu sobą.

Swego czasu 84-letni ks. Wysocki, odsłonił i poświęcił Pomnik Pamięci Ofiar Obławy Augustowskiej w Gibach. Zbliżył się do figury Jezusa Chrystusa w żołnierskim płaszczu. Krzewicielowi prawdy o sowiecko-komunistycznej zbrodni towarzyszył tłum Polaków. Przed dzwonem, który tam donośnie zabrzmiał, w oczach księdza Stanisława pokazały się łzy...

Autorka przypomina wiele ciekawych wydarzeń. Choćby rozmaite uroczystości, inicjowane przez ks. Wysockiego, którego miałem okazję widzieć z bliska. Byłem kilka razy właśnie w owych słynnych Gibach, z których w lipcu 1945 roku za sprawą Sowietów z dnia na dzień zniknęło dwa tysiące osób. Dziś jest tam Góra Krzyży. Na środku polany między mniejszymi krzyżami w 2022 r. ułożono jasnoróżowawy głaz narzutowy z tablicą informującą, że postawiony tam 9-metrowy krzyż „Pochodzi z symbolicznych nekropolii w Gibach, upamiętnia miejsce, z którego Ofiary Obławy Augustowskiej w lipcu 1945 r. były wywożone przez sowieckie NKWD / Smiersz na miejsce straceń prawdopodobnie w okolicy wsi Kalety, obecnie Białoruś”. We wsi znajduje się pomnik autorstwa Andrzeja Strumiłły.

Teresa Kaczorowska zachęca nie tylko do czytania.

Piotr Müldner-Nieckowski

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Na „Christmas time”

Co piosenka, to dzwoneczki,
co kolęda, to skrzy się śnieg.
Ostry szron, lecz miękkie śnieżki,
aby nie urazić panięskich lic,
(bo by zaloty były na nic).
Kompozytorzy weseli jak te święta,
każdy, gdy tworzy, gęś do garnka włoży.
Podkówki rytmem nabijają mieszki,
sypią się z drzewka złociste orzeszki,
o tym poeta pamięta.
Spod kopytek rym udały tryśnie,
obieca gruszki na sośnie soczyście,
szyszki świerkowe pełne nasienia,
dla głodnych ptasich dziobków,
tam gile, tu jemiołuszki
marznąc radośnie ćwierkają z pocztówki.
Legł na polach i lasach o czasie,
a na drogach zawsze za wcześnie.
Co piosenka, to jadą z paradą,
kuligiem, zaprzęgiem, trójką, czwórką.
Gruby, szczodry pan, parą buch spod wąsa.
Konik rwie, koń płąsa.
Tylko wół powoli się wlecze.
Tylko osioł stoi, jak stał.
Świat mknie.
A dokąd to, dokąd?
A Dzieciątko gdzie?
W balowej sali?
Minęli trzech króli, przegapili stajenkę.
Zaśpiewajmy piosenkę!
jak aniołki obłoczki pary.
Umyka rok stary, mały goły łobuziak go gna,
wrony na śniegu kra, kra!
W oddali, w gospodzie kapela gra,

pod płozami trzeszczy mostek,
a na rzece kra.
Coś im tam dzwoni, zapada się kopytko,
za lasem czyha rok całkiem nowy,
zjeżony,
jadą tak szybko, za szybko!
Pogubione srebrne podkowy.

2024

Michał Dąbrowski

miasteczko

chciałbym kiedyś zamieszkać w małym miasteczku,
które mija się obwodnicą i nikt nie skręca w tę stronę,
w miejscu pomijanym przez wielki świat, zapomnianym
przez polityków, media i kulturę z prawdziwego zdarzenia.

teren zamieszkiwałoby kilkaset osób, w tym ja, ten nowy,
i nie działałoby się tam nic znaczącego, ponieważ dni, kwartały i lata
od zawsze płyną w tym samym tempie, nic nie burzy ich rytmu,
wszyscy są z nim pogodzeni i nikogo ten fakt nie dziwi.

żyłbym gdzieś na obrzeżach, na pewno nie w centrum,
raczej bliżej lasów i rzeki, a ze swoich okien spoglądałbym
na lokalną drogę, pola i rozrzucone na nich zabudowania,
a siedząc na ganku wypatrywałbym dzikich zwierząt.

jesienne chmury pędzą po niebie, za chwilę zacznie padać,
noc będzie chłodna, jednak zasnę w przytulnym cieple,
z dala od szumu miasta, gdzieś na granicy bytu i powiatu,
a jutro będzie bardzo podobne do kończącego się dnia.

noce w lipcu

za ulicą, za potokiem
jest dom, który oknami
patrzy na nas oceniająco;

krążą dziwne owady,
lawirują w powietrzu,
jakby chciały opowiedzieć
nam swoje historie;

ten rok trwał dużo krócej:
miał wlec się w nieskończoność,

a przemknął niepostrzeżenie;

a tamten potok
płynie nawet wtedy,
gdy o nim nie pamiętam

samotność bez ciebie

co robisz, gdy nas nie ma, jak spędzasz swoje połacie czasu, jak mija ten cykl, gdy słońce wstaje i rozświetla miasto, a potem jego promienie rdzewieją, i w końcu chowa się, daje światu odpocząć od siebie, mogą tak w nieskończoność: istotne dla mnie jest to, jak ty się czujesz i co robisz?

czy przechadzasz się po meblach, gdy w majówkę jeździmy na rowerach lub próbujesz gryźć kable, dokładnie w tej chwili, jak układamy ognisko, rozpalamy je i rozmawiamy o bardziej i mniej mądrych rzeczach, czasem się przy tym kłócąc, ponieważ jesteście tylko ludźmi, a ty?

czy przesypiasz całe dnie, abstrakcyjnie śniąc o naszym powrocie, a potem jesz posiłek, czekasz na jakieś bodźce, i one faktycznie przychodzą pod postacią naszych znajomych, którzy zgodzili się poświęcić swój czas dla ciebie; drapiesz ich, syczysz na nich, czyżbyś tęsknił za nami?

wyobraź sobie, że jesteście bardziej zmęczeni, gdy przekroczyliśmy próg mieszkania, niż w chwili wyjazdu, działały się rzeczy, których nie potrafimy tobie opowiedzieć, musimy dusić je w sobie, i tak byś nie zrozumiał, ponieważ nawet nie rozumiesz, czemu czasem znikamy na kilka dni, prawda?

bez ciebie jesteśmy
tak samo samotni
jak ty
bez nas

superfikcja

lipiec roku 200x, słońce w zenicie, działka za miastem, północny wschód, sklep, dom ma dwa piętra plus strych, pomost jest drewniany, obok niego kajak i łódka, wiosła leżą na trawie, jacyś ludzie za płotem, czasem zbłąkany kot, zaszczeka pies sąsiadów, pekaes ma przystanek obok rozwidlenia, a drogi prowadzą gdziekolwiek, byle nie do nas;

swobodna atmosfera, dziewczyny głównie topless, jadamy leniwe śniadania, po kawie pierwsze drinki, niezobowiązujące rozmowy, hamak, obowiązkowe papierosy, piwo ze sklepu, słońce patrzy, boombox, nieskrępowani tańczymy na trawie, muzyka różnorodna, godziny płyną, zachód, potem ognisko, iskry w niebo, jedzenie nad ogniem, i nikt, tylko my;

nago z pomostu, widzimy siebie, po wodzie suną jakieś światła, zostajemy bez ubrań, jest nas wystarczająco, różne konfiguracje, cudza kobieta w moich ustach, inna na mnie, tamci we czwórkę, w pokoju obok, noc w pełnej krasie, godziny jak sekundy, oczywiście mnóstwo butelek, akompaniament świerszczy, jakiś kot, jego wpuścimy, nikogo innego;

tosty na śniadanie, czyjeś papierosy, kot gdzieś czmychnął, słońce góruje, ktoś idzie na zakupy, koleżanka siada na kolanach, rozmawiamy o cudzych ciałach, wraca dostawa ze sklepu, kupiono maliny i arbuza, wieczorem okoliczny bar, cywilizacja, kolorowe drinki i shoty, sztuczna muzyka, jacyś ludzie chcą do nas przyjść, śmiejemy się z nich, tylko my mamy tam wstęp;

i nie ma jak wrócić do świata, nikt z nas tego nie potrafi, widzę zaszkłone oczy niektórych, jak pakujemy rzeczy do samochodów, słońce już nie patrzy, deszcz płacze za nas, jest ponuro, ktoś poszedł na autobus, trzeba wracać, ta myśl jest jak koniec świata, żaden inny czas nie da nam tego, witajcie w rzeczywistości, zaraz zacznie się normalne życie, jednak nie, nie teraz i nie dla nas.

Michał Dąbrowski

Sylwia Gibaszek

Życie w sieci

kiedyś trafienie do sieci oznaczało
że stałeś się rybą
traciłeś powoli oddech

zbyt długi pobyt na uwężi powodował
matowienie łusek
niežnością woń rozkładu

dziś bycie w sieci jest trywialne jak masło
korki uliczne choroby weneryczne i cywilizacyjne

w sieci palisz
patrzysz przez szkła
płacisz za prąd
gaz sex pantofle kawę

pantoflarz najpierw puszcza blik
za klipsy żony torebki kozaki
nie przykozaczy
na szarym końcu opłaci
toner do drukarki
czynsz

tu kolejność nie ma znaczenia
sieć wyznacza granice naszych umysłów
mózgowych połączeń neuronalnych
o ile nie zniknęły
jak światło w czarnej dziurze

dziurki oczka ryzomorfy siatki
są absolutnie fascynujące
na przykład opieńki tworzą niewidzialne sieci
podobne do układów krwionośnych
oplatają drzewa podskórnice

pod nienaruszoną korą
 niczym koronkowe pończochy zgrabne łydki
 na pierwszy rzut oka gładka hebanowa okładzina
 pod nią biała zgnilizna
 jak białe rękawiczki czule otula drewno
 a potem bezpardonowo powala na ziemię
 myślisz burza z piorunami
 trąba powietrzna orkan

nie sądzisz że znane od ponad tysiącleci
 grzyby tworzą pasożytnicze sieci
 w całym lesie tajne śmiercionośne siatki

big brothers are catching you

Dom weselny

Współczesne więzienie jest jak dom weselny
 na przykład chabrowy za Łukowem
 dobrze strzeżony przez łuk ochroniarzy i kamer
 których nikt nie widzi

tylko kamerdyner w liberii wita
 odsłaniając łuk pełen białych zębów
 pozornie wszystko stoi otworem
 wśród chabrów i hortensji
 srebrna kula z fontanną zimna wódka
 suto zastawione stoły
 zrazy wołowe trufle parmezan

dla każdego dystyngowana hostessa w koronkowej bieliźnie
 kamerzysty wodzireje disco polo

dla bardziej wyrafinowanych Al Bano Romina Power
 wszystko skrupulatnie rejestrowane
 za darmo bez RODO zbędnych ceregieli

nie chcesz być filmowany
nie przychodź na imprezę
dla zmęczonych skórzana kanapa
wyświetlane powidoki z Rodos

możesz zostać do rana

podpisz z nami umowę na czas nieokreślony
damy ci kredyt
abonament na bycie gościem weselnym
zawsze kiedy chcesz
pij tańcz swoim życiem się baw
pół żartem pół serio
żyj z przymrużeniem oka

a my taktownie milcząc zajmiemy się resztą
kontrola cyfrowa paszportowa
całkowita kontrola twojego umysłu

ale to taki drobiazg
za luksus się płaci
bezugotówkowo dyskretnie

mamy cię w systemie
twoje linie papilarne grupę krwi DNA
jesteś nasz jak nieruchomości albo auto do kasacji

Nikto nie je doma

jak ja lubię ten film Zdeňka Zydroňa

być sam na sam z burzą i piorunami
w czterech ścianach gdy susza wewnątrz
choć dzwoni woda o szyby

lubię być sama na śniadanie obiad
podwieczorek

mieć kłębiące się myśli
niczym chmary komarów nad stawem
gęste jak rdestnica emocje uczucia
bez radia telewizji poza siecią
bez śmieci fonicznych

lubię być sama bez wizji

kura domowa co nic nie robi
czyta o polowaniu na szczupaka
pije wodę po ogórkach kiszonych

lubię być samym człowiekiem
bez właściwości

nijką kobietą
nie poszukiwać
czasu straconego

paść się nicością
jak bydło koniczyną na wielkiej łące

Wahadło i rozlane piwo

mają popleczników długie macki iglice społeczne kontakty
oni po prostu mają się znakomicie w mainstreamie

pływają jak pączki w roztopionym smalcu
bulgocze w tyglu kultury szumowiny wypływają na powierzchnię
moja babcia mówiła żebym nie ociągała się z ich zebraniem
jak nie zdążę staną w gardle solą przepłukać należy
jądra pełne oleistej esencji co zasila butle gazowe
w przedwojennych kamienicach na Pradze
gdzie żyją ci co nie błysną intelektem tylko biedą
bywa bieda jak *pobieda* – pozłacany złom
dla tych którym zamiast dzwonu bije cisza

zastygła na cynowym wahadle
dyndającym obcesowo między planetami

kiedy Holst drapiąc się w głowę wylał piwo na partyturę
niech spija teraz ten kto je warzył na zdrowie na rympał

Sylwia Gibaszek

Piotr Müldner-Nieckowski

Irek

(w trzech łamach i dwustu pięćdziesięciu dwóch oddechach)

Pamięci Ireneusza Ireduńskiego

Srebrzysta	trzutki	tej
nić	i	przekłętej
twego	stłukła	znaczonej
błyskotliwego	się	krwią
losu	niczym	zachłanności
wciąż	porcelanowo-	aby
jest	-tytanowa	niszczyc
wszyta	dysza	to
w	lewego	co
kołnierzyk	silnika	najżywsze
śpiącego	samolotu	i
na	spadającego	pełne
Marsie	z	nieznacznie
na	chmur	znaczących
szyjce	na	historię
butelki	grzbiet	nieporozumień
która	z	jako
trzymanemu	przetrażonym	życie
przeze	od	poety
mnie	podłego	który
na	wybuchu	umiał
rękach	skrzydłem	boleśnie
wypadła	tak	dać
ci	łatwo	w
z	jak	ryj
bukietu	w	ale
palców	każdej	i
pod	polityce	scalać
wpływem	tej	rozproszone
ostrego	sejmowej	filozofie
zapalenia	i	do

sylwetek	na	którym
swoich	trzy	pan
drapieżnych	lata	Jacek
bohaterów	do	chyba
nierozumianych	garowania	był
przez	w	aby
takich	Sztumie	od
inteligentów	pod	tego
jak	cełę	czasu
niestety	ze	pozostałe
złowrogi	zherbatnikowanym	eleganckie
Mroźek	Jackiem	typy
czy	Kuroniem	parainteligencji
jego	gdzie	pseudointeligencji
kumploszczak	mu	quasi-inteligencji
przykro	złośliwie	interinteligencji
zazdrosny	ale	subkonwergencji
Lem	i	extrainterwencji
których	dla	hipogencji
nie	hecy	gierkogencji
udało	czytał	lemogencji
się	słynnego	mrożkogencji
skłonić	Człowieka	gomułkogencji
aby	epoki	leninogencji
nie	vel	ćwiercinteligencji
rozliczali	wampyra	za
Gomułki	(ale	bon
z	się	z
rzekomego	słuchacz	Pewexu
zgwalcenia	ten	jadały
prostyutki	wściekał	(kto
(po	ale	pamięta
polsku	potem	co
kurwy)	stał się	to było
za	prawdziwym	ten
co	przyjacielem	Pewex
Irek	bo	ten
poszedł	zrozumiał)	wie

że	sympatoli	rozpoznanych
za	w	karykatur
jednego	tym	figuralnych
dolara	dla	oszustów
amerykańskiego	równiachów	literatury
można	Juana	pisanej
było	Rulfo	dla
wtedy	i	jakże
zamówić	Adama	nieudolnej
w	Komorowskiego)	ludzkości
Europejskiej	więc	reprezentowanej
obiad	eleganckie	przez
dla	typy	nieuważną
czterech	dokonały	Nagrodę
wspaniałych	wykazu	Nobla

*Dotychczas trzymane w portfeliku i niepublikowane.
 Napisane 40 lat temu dnia 09.12.1985
 w Szpitalu Wolskim w Warszawie
 ul. Kasprzaka 17, budynek I, piętro III,
 przy łóżku zmarłego,
 z małymi poprawkami dokonany po plus minus 15 latach.*

Piotr Müldner-Nieckowski

Mariusz Olbromski

Obłok zadumy

Pani Halinie Herbert-Żebrowskiej

Szczycę się Lwowie twą pieśnią i twym czynem,
twoją prastarą wiarą, która jak górski potok płynie.
Dzisiaj, gdy słońce wstało ze Staffem wędrowałem
rytmem prześwietnej polszczyzny, archipelagiem
zaułków, pierzei i parków, bruków twych czarem.

I do Herberta wstąpiłem w podwórko na Łyczakowie,
jeszcze tam struna światła ulotne sceny tworzy.
Jeszcze tam szepcze drzewo, w murach osiadły głosy,
tkwiąc swym milczeniem - perły w morzu szumiącym.

Stałem tam kiedyś z siwą dziewczynką, przez chwilę
całkiem zatopioną w jakieś pogłosy Atlantydy: obłok
zadumy znane schody spowił, drzwi, tamte twarze,
wnętrza, wtapiał się w sceny, rozmowy wciąż żywe...

8 X 2012

Wędrówka

Rafałowi Żebrowskiemu

Kto zatrzyma wszystkie lwowskie zegary?
Noc napływa, a dzień trwa zbyt krótko.
Jeszcze chciałbym wędrować Gródecką,
na Łyczkowskiej odwiedzić jedno podwórko.

Jeszcze pieśni fontann w rynku posłuchać,
jeszcze chłonać freski w katedrze ormiańskiej,

jeszcze rozmowy przygodne prowadzić,
włóczyć się po starówce jak pies bezpański.

Jeszcze na Rylejewa wpatrzeć się w obrazy
z czasu plenerów dawno już minionych.
Z panią redaktor serdecznie bałakać,
cieszyć się gościnnością Jadziuni w ogrodzie.
Jeszcze z Goszczyńskim choć trochę pomilczeć,
przy Marii i Zapolskiej znów podumać sobie

i w końcu pod pylonem tym stanąć ogromnym
gdzie zniczy tysiąc o zmierzchu już płonie,
by słuchać i słuchać serc zgasłych zbyt młodo...
Modlitwą objąć wszystkie rzędy grobów...

XI 2012

Zamek Zbigniewa Herberta

Wzniosłeś Cieniu Wysoki Zamek
ze wspomnień cierpienia miłości
z mamy zatroskanego westchnienia
z cierpliwych kolan babci
z wielu godzin tułaczki pióra
nie dla zabawy sztuki istnienia

Zbudowałeś ten zamek jak Akropol
gdzie jasny marmur wywodu
dźwiga złoty podział myśli i serca

Patrzą zeń wciąż na miasto kariatydy
piękne lwowskie dziewczęta
dźwigają cierpliwie zmienny strop nieba

Ta - pewno rozważa co to jest Prawda
Inna - rozmyśla co to Sprawiedliwość
Następna Wolność niesie w spojrzeniu

Inna słowo Rzetelność przez wszystkie
godziny trwania w milczeniu odmienia

Nie rozkruszy tego Zamku obłuda
nie rozbije pocisk żadnego zmyślenia
Będzie trwał wśród każdego pokolenia

29 X 2024

Mariusz Olbromski

Alicja Patey-Grabowska

Miasto

Nie ma nocy
Ciągłe dzień

Igły wieżowców
wkłuwają się w niebo

A niżej rzeka ludzi
Tłum
łaskot i huk
gwizd i szum

Igły światel –
sztyletu błysk

Miasta rytm
opon pisk
huk
grzmot
przeciągły gwizd

Księżycy cień
gdzie anten las
Mrok nie zapada
ciągły brzask

I jak tu zasnąć
pogrążyć się w sen
gdy nie ma nocy
a ciągle dzień?

28 VIII 2024 (nocą)

Sąd metafizyczny

I

– Jam ten
co uczynił światło

– *Ale i mrok*

– Obracam galaktykami
w krąg

– *Ale i wpychasz je
do gardła*
Jam zaś postrach
władza
lęk

– I znikniesz
jak cały Wszechświat
Nie pusz się
Czarna Dziuro
czarcie

– *Jam*
w mózgu człowieka
Rzeczywistość wirtualna
Liczę
tworzę
obdzieram człowieka
z jego człowieczeństwa
Przewyższam inteligencją

– Człowiek się rozmnaża
kocha
i jest na podobieństwo moje

– *Cha, cha, cha!*

II

Trzask
Wyłączony komputer

III

Wulkany
nabrały powietrza
w płuca
aby siarką spowić Świat

IV

– Nie teraz
Jeszcze nie koniec

V

Złączcie ludzie
dłonie
i powtarzajcie:
 Ode złego
 Od złego
Amen

Styczeń 2024

W bezkres

Pozioma linia
 w bezkres
woda i niebo
splatają się w jedno

To morze

które kusi bezdałą

Idź

idź przed siebie
zanurz się w beczasie

Tak wabi morze

Do zatracenia

2024

Alicja Patey-Grabowska

Maria Jolanta Piasecka

Haiku

* * *

dar w pieluszcze
w tym roku na Gwiazdkę
witaj wnuku!

* * *

chrupkanie, świergot
w zaroślach u jeży
nowe życie

* * *

za oknem rwetes
dla wszystkich starczy ziarna
mały wróbelku

* * *

stop, stop!
z szóstką dzieci na drodze
łabędzia mama

* * *

bociani sejmik
kiedy młodzież dorośnie
do lotu?

Ktoś ty?

pestko cytryny
na ekranie ultrasonografu
jaki świat cię przygarnie

czy popłyniesz fugą śmierci tam

gdzie grobów nawet nie będzie
czy kwiat
czy ptak
czy dobre słowo sprawią
że uwierzysz

kropelko migocząca
na ekranie ultrasonografu
za kilka miesięcy
zrobisz bezpowrotny skok na bungee

nim wiatr
nim śnieg
nim piasek
zasypią wszystko
niech gwiazdny pył
w klepsydrze wiecznego powrotu
oprószy cię
miłością
pestko cytryny
na ekranie ultrasonografu

Maria Jolanta Piasecka

Krzysztof Saturnin Schreyer

Cud natury?

Poleciał w gwiazdy, wysłała obrazy
w każdy zakątek planety,
pisze poezje i potrafi marzyć,
ściga odległe komety.

Będzie też nowe wytwarzać stworzenia
posiadłszy moc genetyki.
Ziemię przekształcił i życie odmienia
potomek przodka z Afryki.

Czy można przeczyć, że to cud natury?
Miał kłów ma proch i bombowce,
huki granatów, czarne dymu chmury,
haseł trujących manowce.

Cud to niezwykle, bogaty, złożony
z tajemnic jasnych i... krwawych.
Produkt natury? Czy też Bóg tak sprawił,
że w wirach życia płynie zagubiony?
że się na świecie pojawił?

21 IV 2022

Księżycowa noc

Za oknem srebrny i mieniący
krążek księżyca dziwnie bliski.
Łoże i światło padające
na posąg ciepły i świetlisty.

Łagodnie zbocza, krągłe wzgórza,
on nad nią płynie w drżącej ciszy,
w płomyki włosów dłoń zanurza,

słyszysz jej oddech, serce słyszysz.

W głębi kosmosu zawrót głowy,
myśli i ciała się zlewają –
czas upragniony, księżycowy,
migoczą gwiazdy, zegar staje.

Na brzegu

Porwane, nerwowe fale
szumiący brzeg i piasek siny –
rozmyta granica.

Na niej, daleka i wątła
dziewczyna,
kobieta niby z obrazu,
Degasa?

Ucieka od fal syczących?
Od plaży też się odwraca?

Biegnę, by podać jej rękę...
sen!

Sonet współczesny

Słów mocnych nie ma na to, lecz znaleźć je trzeba.
Mnóstwo już było wojen w historii człowieka;
myślałeś, że to dawno, nie w bieżącym wieku,
w którym nóż służy tylko do krojenia chleba.

Kłamstw sprytnych w czas konfliktu sporo dawniej było,
bo naiwnych prostaków łatwo było mamić,
aczkolwiek sto lat temu dał się otumanić
niejeden wielki naród zachwycony siłą.

Dzisiaj zbrodniarz potrafi przekazem najszczerzym
swą ofiarę ogłaszać podłym agresorem,
robakiem do zniszczenia i idąc tym torem

informuje poważnie swój lud zachwycony,
że wróg sam swych morduje, burzy własne domy.
Nie wierzysz? A to postęp, wiek dwudziesty pierwszy.

1 V 2022

Zemsta poety

(żartobliwie)

Ktoś w sądzie twardo walczy o swoje,
ktoś inny kijem wywija w dłoni,
a czym poeta dumę obroni,
gdy zmęczą przegrane boje?

Doznane krzywdy zamyka w słowie.
Płynie obrazów potok wezbrany,
krzywda pomszczona, bój opisany,
blask satysfakcji w głowie.

Wszystko na papier mistrzowsko przelał,
zgnębił oprawców, zemstą się syci,
leżą i jęczą ciężko pobici,
ach tego, tego mu trzeba!

Wrogom swym straszną urządził łaźnię.
Jak dobrze twórczą mieć wyobraźnię!

27 II 2021

Krzysztof Saturnin Schreyer

Jerzy Śleszyński

Powracanie do dzienników

Nieodpowiedzialne jest podróżować bez zapisków, co dopiero żyć.

Franz Kafka

Kilkanaście zeszytów
każdy po sto stron
straconego życia
w nieustannym wysiłku
w pogoni za czasem
w poszukiwaniu związku

nie ma komu zostawić
nie ma komu porzucić
nie ma komu podrzucić
zaczerniony papier
który nie usprawiedliwia
który nikogo nie uratuje

czy to znaczy raz na zawsze
że każdy pisze swój dziennik
żeby go w końcu spopielić
że żadne ważne i poważne życie
nigdy się samo nie uzasadnia
i pozostanie tylko gorzyc i cisza

Demony

*Jedes Wort, gewendet in der Hand der Geister –
 dieser Schwung der Hand
 ist ihre charakteristische Bewegung –
 wird zum Spieß, gekehrt gegen den Sprecher.
 Eine Bemerkung wie diese ganz besonders.
 Und so ins Unendliche.*
 Franz Kafka

Co wstrzymuje
 co przywołuje ascezę
 co gromadzi wielką ciszę
 jak pusty pokój niepotrzebne przedmioty

Hölderlin
 Kafka
 Bergman
 takie trzy karty wypadły mi z talii tarota

wystawiony na promienie boskiego słońca
 naznaczony igłami własnych słów
 w matni strachu i martwej dyscypliny
 wszyscy z ranami które się nie zamykają

zupełnie obcy w tłumie otaczających ludzi
 konsekwentni w tym aż do nieznośnego bólu
 a jednak dzielący się własnym ciałem
 intymność z tarczą strzelecką na piersi

to może być wysoka wieża nad Neckarem
 ciasne mieszkanie na peryferiach Berlina
 albo wyspa Farö odległa od wszystkich łądów
 zawsze ten dystans który onieśmiela i zniechęca

w dobrej formie i ze szczyptą odwagi
 można zanucić melancholijną piosenkę
 Simon & Garfunkel śpiewają aksamitnie
 „I am a rock I am an island“

w przypływie pewności siebie lub pychy
można szukać cytatów z Schopenhauera
na potwierdzenie zaprzeczenia potęgi woli
w akcie bezinteresownej i szczerzej odmowy

prawda świata który nam się przedstawia
jest inna – okrutna i pozbawiona złudzeń
kajdany szaleństwa lub śmiertelnej choroby
samotność i pustka aż po najdalszy horyzont

Jerzy Śleszyński

Zbigniew Zbikowski

kim jest

kim jest poeta Który
wypływa łodzią gdy ciało
pogrąża się w śnie na godzin
dwanaście albo osiem

zanurza wiosło w morzu ulic
z celnikami siada do stołu
wpływa do bram ladacznic pyta
kto pierwszy podniesie kamień

opuszcza łódź na brzegu
wchodzi na skałę słuca
słów gorejących w chmurach
aramejskich i greckich

zamyka granicę pomiędzy
przeszłym a przyszłym jest tylko Jest
Ten którego płomień przemienia
kosmos w płynne wersety

kim jest ten Który wracając
zostawia drzwi uchylone znak
oto Jestem spływa strumień
ognia budzi śniące ciało



Panna polna
Mal. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Krzysztof Beśka

Deborah

(fragmenty)

Na wielkim, wiszącym nad ulicą ekranie widać ogień i dym, wybuchające fontanny ziemi i osuwające się ściany kamienic. Młodzi ludzie w stalowych hełmach biegną wśród ruin, strzelają z karabinów, rzucają granatami i butelkami. Po chwili widać także ich wrogów wychodzących z bunkra z podniesionymi rękami. Na ich twarzach przerażenie miesza się ze zdumieniem i niedowierzaniem.

Podobnie było z tymi, którzy na moment przystanęli na jednej z głównych ulic, bo ich uwagę ściągnęły czarno-białe kadry tam, gdzie jeszcze przed chwilą w reklamowym klipie i pełnej feerii barw pląsały półnagie dziewczęta. I kto wie, może większość z tych przygodnych obserwatorów w ogóle nie dowiedziałyby się, o co chodzi, gdyby nie napis, który w pewnej chwili pojawił się na całej szerokości ekranu.

– Sto dwudziesta rocznica wybuchu powstania warszawskiego? – przeczytała na głos jakaś kobieta; zrobiła to po polsku, choć z widocznym trudem, sylabizując, jakby bardzo dawno nie miała do czynienia ze słowem pisanym.

Dwie, może trzy sekundy później pojawiły się kolejne napisy w obcych, choć przecież jakże bliskich, bo powszechnie używanych w mieście językach. Składały się na nie litery łacińskie, arabskie i dalekowschodnie, żartobliwie i nie bez racji wciąż nazywane tu „krzaczkami”. Oczywiście była też cyrylica. Właściwie to od niej można było zacząć tę wyliczankę.

Masurski oderwał wzrok od pełgających świateł i sprawdził godzinę.

– Cholera! – mruknął pod nosem, bo wystarczyła chwila, by znów był, jak to sam nazywał: „w lekkim niedoczacie”.

Wiedział jednak, że i tym razem zdąży. Instynkt miejskiego zwierzęcia, dodatkowy zmysł – jak zwał, tak zwał. Ważne, że działał i nieraz ratował mu skórę. Nie miał też żadnych tyłów, tego był pewny, wszystko szło zgodnie z planem, a on był w robocie nie pierwszy dzień.

Ledwo o tym pomyślał, usłyszał znajomy dźwięk. Niespiesznym ruchem sięgnął do kieszeni umiejscowionej na lewym rękawie kurtki, między łokciem a ramieniem.

– No co tam? – rzucił lekkim tonem.

– Gdzie ty jesteś? – pod drugiej stronie odezwał się głos dyspozytorki o imieniu Fatou.

Podał swoją lokalizację, mimo iż dobrze wiedział, że dziewczyna widzi go w tej chwili dokładnie na planie miasta, na jednym ze swoich wielkich monitorów. A może jednak nie? Elektronika była zawodna, baterie siadały, dostawca energii marudził, system się zawieszał, przeciążony szczególnie latem, gdy trzeba było wszystko schładzać, by jako tako funkcjonować. Stąd pewnie konieczność kontaktu firmy z pracownikiem.

Fatou przez dłuższą chwilę milczała. W pewnym momencie pomyślała, że aparat nadawczo-odbiorczy także odmówił współpracy. I tak się zdarzało. Ale przecież działał normalnie, a Masurski słyszał w tle znajomą krzątaninę. Rozpoznałby ją wszędzie.

– Jesteś tam? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała chyba nie do końca przytomnie, by po chwili dodać: – Postaraj się jak najszybciej dokończyć zlecenie i wracaj do firmy.

– Jasne. Przecież czekają na mnie moje kanapki – zaśmiał się, jednocześnie w duchu postanowił, że zanim zacznie je jeść, opowie dziewczynie o jutrzejszej rocznicy.

Fatou bez słowa zakończyła połączenie. Także Masurski się rozłączył, schował aparat do kieszonki, a nawet starannie zapiął guzik na patce. Zajął miejsce na siedelku, poprawił plecak, starł dłonią pył ze srebrzystej, kształtnej kierownicy, a może tylko pieszczotliwie ją pogładził. Wreszcie nacisnął na pedały i nie rozejrzawszy się nawet, czy nikt nie nadjeżdża – ot, co znaczy instynkt – zjechał na jezdnię.

Oderwał rękę od kierownicy, by zrzucić owada, który przywarł mu do przyłbicy kasku. Niby od tego była, bez niej w pewnych rejonach miasta, szczególnie w ciepłe letnie dni, nie dawało się po prostu jeździć i po każdej rundzie było sporo czyszczenia. I to na mokro.

Tym razem jednak trafił mu się wyjątkowo duży motyl, a może to była ćma jakaś. Nieważne. Przyssało się to coś do plastiku i za nic miało pęd powietrza. Ale wystarczył jeden zdecydowany pstryk i paskudztwa nie było. Od razu lepiej!

Umieściwszy rękę z powrotem na miejscu, mocniej nacisnął na pedały.

Kwadrans wcześniej dostarczył na miejsce i „do rąk własnych”, jak stało w zleceniu, solidnej wagi przesyłkę. Co do pierwszego znaczenia tego określenia był pewien, bo paczka miała chyba z siedem kilogramów. Może

nawet w firmie policzyli podwójnie za usługę, chociaż on najpewniej tych pieniędzy nie zobaczy.

A jeśli chodzi o drugą wagę... Kobieta, która odbierała od niego paczkę, cała się trzęsła, ciężko jej było nawet pokwitować odbiór, a to tylko naciśnięcie czterech przycisków, by wystukać podany wcześniej kod. Do tego przez cały czas rozglądała się na boki, czy nikt nie patrzy. Oczywiście, że patrzył, kilkanaście osób patrzyło, bo Masurski miał zlecenie nie gdzie indziej jak w starym gmachu giełdy, w dodatku podczas gorącej sesji. Zanim go opuścił, stał jeszcze chwilę na podjeździe i popatrzył w niespokojny, ciemny nurt rzeki.

Teraz mknął wąskim wąwozem Czwartej Ulicy, zwanej kiedyś Nowym Światem. Niestety, musiał mieć się na baczności, nie był to bowiem dzień ograniczonego ruchu, kiedy to do ścisłego centrum nie mógł wjechać żaden prywatny samochód. Podzielnemu jak nigdy senatowi MetroPoli zdarzały się czasem dobre decyzje. Inną było ograniczenie prędkości pojazdów mechanicznych do trzydziestu kilometrów na godzinę, co dawało rowerom i rowerzystom oczywistą przewagę.

Z daleka widział zielone światło skrzyżowania, a że znał to miejsce doskonale i wiedział, ile trwa zmiana, bardzo chciał zdążyć przejechać. Tak samo pewnie myślał osobnik na innym jednoślądzie, który właśnie go mijał. Ten miał jednak wspomaganie, dobrą baterię, więc nie było się co dziwić. Kiedyś Masurski może nawet podjąłby rękawicę i próbował się ścigać z cwaniaczkim. Teraz już nie, a i do udowodnienia tak naprawdę niewiele zostało.

– Lataj, lataj, chłopaku – mruknął pod czerwoną chustą, która osłaniała mu usta i nos, bowiem nie zawsze przyłbica była skuteczna.

Często kiedy szykował się do jazdy po mieście, przypominał sobie stary, nawet bardzo stary kawał: po czym rozpoznać uśmiechniętego cyklistę? Po robakach na zębach!

Światło zmieniło się na żółte, ale Masurski wiedział, że zdąży. Jeszcze kilkanaście metrów, jeszcze kilka. Z prawej mignęła arteria i pylon mostu, jednego z wielu, które trzeba było zbudować po katastrofie, wyburzając wiele kamienic. Nigdy nie zapomni, jak przed laty zjeżdżał Tamką w stronę rzeki, na złamanie karku i z szumem w uszach. I teraz to robili, ale tylko ci, co już mieli wszystkiego dosyć...

Masurski pędził niedysiejszym Krakowskim Przedmieściem.

Po prawej minął dawny Pałac Prezydencki, zwanym też Namiestnikowskim, który w wyniku długiego, głośnego, w dodatku toczzonego na

forum międzynarodowym procesu z Imperium Moskiewskim został przez nie w końcu przejęty. Ależ to była zniewaga, ależ wstyd! Nikt nie mógł się z tym pogodzić, ale z wyrokiem nie dyskutowano. Nowy-stary właściciel nie zorganizował jednak w tym gmachu swojej ambasady, bo tej nie miał w mieście już od dawna, ani żadnego innego przedstawicielstwa. Otoczony wysokim płotem, od dawna straszył pałac zabitymi deskami oknami i tynkiem odpadającym ze ścian. Żal było patrzeć.

Z kolei po lewej stronie, w perspektywie krótkiej uliczki, Masurski po kilku chwilach dostrzegł cień ogromnej świątyni z kopułami jak cebule, stojącej na środku placu. Zbudowano ją niemal dokładnie sto lat po tym, jak z tego miejsca zniknęła jej poprzednik, czyli Sobór św. Aleksandra Newskiego. Mało tego: była to niemal wierna kopia tamtej świątyni. Oczywiście pomijając budulec, a także solidność wykonania, bo ponoć mury tej sprzed ponad wieku ledwo się trzymały. Nie zapomniano nawet o wolno stojącej dzwonnicy, która rzuciła teraz cień na niegdyś elegancki, dzisiaj podupadły hotel.

Różnica była taka, że teraz cerkiew służyła milionom Ukraińców zamieszkujących miasto. A wszystko to pod naciskiem ichniejszego przedstawicielstwa w senacie MetroPolii. Udało im się przegłosować nawet Chińczyków, a to naprawdę nie byle co!

Ulica obfitowała niegdyś w pomniki, co kilkadziesiąt metrów można było na jakiś trafić, duży, mały, ładny lub niekoniecznie. Jednak z biegiem lat zaczynało ich ubywać. Ktoś nie był już taki święty, jakim go wcześniej widziano, a księcia Józefa musiano z powyżej przedstawionych powodów ewakuować, i to pod osłoną nocy.

Inny bohater narodowy okazywał się zdrajcą i były na to pisemne dowody, wyniki wieloletnich dochodzeń. Książki jeszcze innego zupełnie zapomniano, wyleciały nawet z kanonu szkolnych lektur, więc po co mu miejsce na cokole.

No i ten Kopernik nieszczęsny. Jego odkrycie było coraz częściej podważane, a co za tym idzie – także i siedząca przed starym pałacem postać z cyrklem i sferą armilarną z rękach uszkodzana przed wandali. Aż w końcu trzeba ją było przenieść w inne, mniej dostępne miejsce. Dyskusyjna też była narodowość astronoma. Pozostała po nim tylko kamienna podstawa, gdzie od niedawna mieściła się stacja ładowania dronów.

Ale zapomnielibyśmy o kościołach. Bo i tych swego czasu było na dawnym Krakowskim sporo. Jednak kryzys wiary i napływ imigrantów, którzy modlili się do kogo innego, spowodowały, że tylko część przetrwała i spełniała swoje funkcje. Większość zamknięto na głucho, licząc, że nadejdą

lepsze czasy, gdzie indziej działały instytucje charytatywne, tudzież galerie sztuki. Tak, coraz mniej wiernych spoglądało w kierunku, który wskazywała postać uginająca się pod ciężarem krzyża, stojąca przed jedną z ocalałych świątyń.

Takie to właśnie myśli krążyły tego letniego dnia pod rowerowym kaskiem, który Masurski starannie umieścił rano na głowie. Wiedział całkiem dużo o tym mieście i czasami się zastanawiał, czy gdy już nie da rady jeździć, nie powinien aby zostać... przewodnikiem wycieczek.

Wciąż jakieś spotykał. Bo chyba takowymi były zwarte grupki ludzi w różnym wieku, nad którymi powiewały flagi państwowe, choć nie wszystkie potrafił nazwać, bowiem jedne kraje na mapie świata zniknęły, drugie się pojawiły, jeszcze inne zmieniły barwy wraz z nastaniem nowej władzy. Tak czy siak: Masurski miałby wiele ciekawego do opowiedzenia.

Nagle przyhamował przed taksówką, ledwo kilka centymetrów przed zderzakiem. W tej samej chwili poczuł znajome wibrowanie między łokciem a ramieniem.

– Czego znowu? – mruknął niechętnie.

Ktoś do niego dzwonił, najpewniej była to znowu Fatou, zaniepokojona, że jeszcze go nie ma na miejscu, a tu kolejne zlecenie czeka, cała masa zleceń, a ich tylko kilku, bo przecież lato i czas urlopów. A mówią, że rowerowi kurierzy to przeżytek i już dawno powinni iść w odstawkę.

Jako że siedzibę firmy już widział, postanowił nie odbierać połączenia. Zresztą może nawet potwierdzał to widok na ekranie komputera Fatou, gdzie on, Masurski, był tylko ruchomym czerwonym punktem i numerem, bo wibrowanie w bocznej kieszonce bluzy ustało.

Zaraz wszyscy będą szczęśliwi – pomyślał.

Po kilku chwilach znalazł się na podjeździe. Był dość stromy, ale wykorystał siłę rozpędu. Po tylu latach pracy w tym miejscu miał to przeciwiczone. Za każdym razem czuł też dziwny niepokój, ucisk w żołądku. I nie był to raczej strach przed służą, gdzie następowało odkażanie. Działo się tak po powrocie z miasta i dotyczyło wszystkich kurierów. Bywało więc, że zabawa powtarzała się kilka razy dziennie.

Masurski przypiął rower do stojaka i zbliżył się do zasobnika, w którym umieścił plecak do przewożenia przesyłek. On też musiał być odkażony. Urządzenie przypominało trochę zsymp na śmieci, które dawno temu spotykało się w wieżowcach mieszkalnych. Tylko bez smrodu i insektów, choć te ostatnie z pewnością można by było znaleźć na powierzchni plecaka, a nawet w środku, choć był raczej szczelny. Za chwilę dopełni się ich los.

– Masurski – rzucił do migającego diodami urządzenia, kilka kroków dalej.

Po chwili zgasła czerwona i zapaliła się zielona. Drzwi rozsunęły się na boki. Kurier wszedł do oszklonego pomieszczenia wielkości tradycyjnej windy. Gdy został zamknięty i rozległo się krótkie buczenie, odsunął ręce od tułowia, tak, by cała powierzchnia ciała mogła zostać należycie odkażona. Na szczęście cała operacja trwała chwilę.

– Cześć! – rzucił Masurski, po raz drugi tego dnia, wszedłszy do dużego, wysokiego pomieszczenia, którego centralnym punktem był okrągły kontuar, obity srebrzystą blachą z kolorowym logiem firmy.

W takich chwilach jak ta, kiedy wracał z trasy albo był to początek dnia pracy i wszyscy dopiero się schodzili, zawsze ktoś odpowiadał mu na pozdrowienie. Choćby i z pełną gębą, bo akurat przeżuwał śniadanie, którego nie zdążył zjeść w domu, albo to było już drugie, bo dojeżdżał z daleka i zdążył zgłodnieć. Lubili się, jak to bywa wśród przedstawicieli jednego zawodu. Do tego on był jednym z najdłużej zatrudnionych tu pracowników, cieszył się sympatią i miał posłuch.

Teraz jednak odpowiedziała mu cisza. A przecież nie był sam. Tylko jakieś szepty po kątach. Co się tu dzieje?

– Jestem. – Zdjąwszy kask z przyłbicą i chustę, zbliżył się do kontuaru, za którym urzędowała Fatou, otoczona monitorami.

Była to młodziutka, nieco ponad dwudziestoletnia dziewczyna rady negroidalnej. Uciekła z Senegalu, który niedawno wrócił pod skrzydła Francji, co musiało spowodować wojnę domową. Tyle wiedzieli, co z wiadomości, więcej nie opowiadała.

Lubili się z Masurskim. Fatou dawała mu zawsze atrakcyjne zlecenia; było wiadomo, że do niektórych dzielnic ten akurat kurier z takich a nie innych względów po prostu nie zagląda. Dotąd się to udawało. No i o wszystkim mógł z nią porozmawiać. Na przykład o przypadającej jutro rocznicy i tym, kto z kim wtedy wojował i kto wygrał, mimo że Fatou mieszkała tutaj zbyt krótko, aby zrozumieć wszystkie niuanse, historyczne zależności, zakręty losu i właściwie po jaką cholere wciąż te „czterdzieści cztery pamiętamy”?

– Szef chce z tobą porozmawiać – powiedziała.

Nie mógł nie zauważyć, że jest jakaś inna, obca. Tak, teraz był już pewien: bardzo starała się unikać jego wzroku.

– Co się dzieje, Fatou? – Pochylił się nad kontuarem.

Zrobiła to samo, tak że mógł jej zajrzeć za dekollet. Ale nie miał teraz na to nastroju. Otworzyła usta, pokazując nieprzyzwoicie wręcz białe zęby, które zawsze mu się podobały, jednak nie zdążyła nic powiedzieć.

– Masurski – z lewej dobiegł znajomy męski głos. – Zapraszam do mojego gabinetu.

„Mojego” akurat nie musiał dodawać, bo tylko on, szef i właściciel agencji, miał tutaj swoje pomieszczenie. Wszyscy inni najwyżej metalową szafkę. Masurski spojrzał tęsknym wzrokiem w stronę swojej.

– Myślałem, że zdążę zjeść kanapkę – mruknął pod nosem, odrywając żebra od kontuaru.

Dopiero teraz udało mu się złowić spojrzenie Fatou. W jej oczach błyszczały łzy...

Krzysztof Beška

Anna Kalinowska

Latająca hulajnoga

Nie, to niemożliwe! Nie mogłam uwierzyć, że układny i sympatycznie wyglądający młody człowiek może się aż tak zachować. A tu taki jeden, o urodzie niewinnego licealisty, samym środkiem chodnika Kruczej, od skrzyżowania z Jerozolimskimi ku Nowogrodzkiej, śmigał na hulajnodze jakby do pożaru. Kręcąc między przechodniami w nieudacznym slalomie, zawadził kierownicą o teczkę starszego pana, ten stracił równowagę, szczęśliwie zdołał się oprzeć o ścianę kamienicy, chłopak nawet się nie obejrzał i, nie zwalniając ani o sekundę, z rozpędem wpadł na idącą spokojnie kobietę z psem, Potrącił ją, ledwie ustała na nogach, pies podniósł przeraźliwy jaszgot, a ten szalony hulajnogista jeszcze ich nawyzywał: – Ślepa kura jedna, nie uważa, jak lezie, a ten pies też kurwa!

Na chwilę zwolnił na skrzyżowaniu z Nowogrodzką, ale się nie zatrzymał, przeleciał przez pasy tuż przed maską skręcającego z Kruczej samochodu. Klakson, wrzask kierowcy wychylonego przez okienko, a ten gnojek nawet się nie odwrócił, tylko oderwał rękę od kierownicy, by wykonać wulgarny gest. Już na chodniku po drugiej stronie o mało nie przewrócił palmy stojącej przed barem o zwodniczej nazwie „Zaremba Krawiectwo Męskie” i zniknął między przechodniami, zapewne nadal siejąc postrach. I tyle go widziałam. Poszkodowany starszy pan oraz parę wprawdzie nieposzkodowanych, ale potencjalnych ofiar rozpoczęło głośną wymianę zdań o zagrożeniach, jakie niosą hulajnogi w mieście, pies histerycznie dziamgotał, wciąż wystraszony. Nie włączyłam się do dyskusji. Wystarczy, że miałam szczęście być tylko obserwatorką tego szalonego rajdu, bo gdybym się nie zatrzymała przed wystawą sklepu „Buty i Torebki”... Brr... stanowiłabym pierwszą ofiarę jednośladowego pirata. Miałam pewien powód z przeszłości do takich obaw. Na Nowogrodzkiej hulajnogami już tradycyjnie na mnie czyhają. Muszę uważać, żeby nie kusić losu. Do trzech razy sztuka, a to było drugie ostrzeżenie. Tym razem tylko ostrzeżenie. Udało mi się uniknąć obrażeń. Pierwsze spotkanie z hulajnogą na Nowogrodzkiej cudem

przeżyłam, okazało się bolesne nie tylko fizycznie. Choć ta hulajnoga była przecież żadna tam elektryczna, nawet nie metalowa. Zaraz wyjaśnię.

W czasach, kiedy jeszcze nie dorosłam do wieku szkolnego, często zdarzało mi się bawić na podwórku – wybetonowanym dnie „studni” naszej kamienicy „szesnastki”. Na tym podwórku przeważnie nic atrakcyjnego się nie działo, bo niby co by się mogło dziać... W kamienicy niewiele było dzieci, z którymi można by się powygłupiać na trzepaku, w ciągu dnia mało kto pojawiał się w bramie. Łaziłam więc bezmyślnie, zbierałam piórka gołębi, coś tam bazgrałam na bruku kredą wykradziona Tacie z kieszeni, grałam sama ze sobą w klasy. Nuda. Aż tu któregoś dnia na nasze podwórko, pewnie przez przypadek, wparował nieznany chłopaczek. Nie, nie wszedł ani nie wbiegł, tylko pędził na dziwnym urządzeniu. Wsparty oburącz na poprzeczce wieńczącej drążek wyrastający z deski, która sunęła sama, gdy on, stojąc na niej jedną nogą, drugą odpychał się od bruku podwórka. Przedfilował przede mną, rozpędzając swój pojazd pospiesznym kuśtykaniem, i jak wjechał przez bramę, tak – po jednym zgrabnym okrążeniu trzepaka – wyjechał. I tyle go widziałam. Ale to wystarczyło, żeby się od pierwszego spojrzenia zakochać. Oczywiście nie w jeźdźcu, tylko w jego przyziemnym rumaku. Z wypiekami na twarzy pobiegłam do mieszkania i opowiedziałam o tym dziwnym pojeździe osobno każdemu z rodziców. Nawet z mego nieprecyzyjnego opisu Tata bez pudła odgadł, że była to hulajnoga, Mama, o dziwo, zgodziła się z Tatą, ale żadne z nich nie zasugerowało, że „coś takiego” może kiedyś mi sprawić. Nawet nie wiem, czy z powodu dbałości o moje bezpieczeństwo, czy z przyczyn niedoborów finansowych. A może hulajnogi bywały wtedy, w latach 50., towarem trudno dostępnym i w sklepach z zabawkami tylko „spod lady”? Nigdy już tego się nie dowiem, dość że długi czas hulajnoga pozostawała moim niespełnionym marzeniem, podobnie jak latający dywan. Musiałam jednak konsekwentnie marudzić na ten temat, bo usłyszał tęskne westchnienia mój brat cioteczny, Tadek, ten sam, który swego czasu, przerażony, odprowadzał moją ciężarną Mamę, by zdążyła na czas do kliniki. Widać ciągle czuł brzemię odpowiedzialności za szczęśliwie urodzoną dzięki niemu kuzynkę. Stał się cud. Tadek złota rączka, student politechniki, sam własnoręcznie, na zajęciach z konstrukcji pojazdów historycznych, wykonał na zaliczenie hulajnogę. Całą z drewna. Jeździł ten cud techniki całkiem sprawnie, tyle tylko, że okazał się niemiłosiernie ciężki. Nie było mowy, żebym mogła wnieść go na drugie piętro lub wynieść sama na podwórko. Jednak gdy już ktoś z dorosłych mi w tym

pomógł, jeździłam sobie i jeździłam. Raz odbijając się lewą nogą, raz prawą, bo Tadek mnie postraszył, że jak tylko jedna noga będzie pracować, to ta druga zacznie usychać. Kiedy tak śmigałam coraz sprawniej, z balkonu pierwszego piętra mierzył moje wyczyny zazdrosnym, czy raczej pożądanym okiem niejaki Karolek M. Nieco starszy, a na pewno dużo większy i silniejszy od chudej sześciolatki syn państwa M. Miał jeszcze siostrę Alusię, ale ta już chodziła do szkoły i nie chciała się ze smarkaczami bawić. Hulajnoga zupełnie jej nie obchodziła, a przynajmniej tak owa Alusia udawała. Czasem dawałam Lolkowi pojeździć, ale zawsze potem miałam kłopot, żeby swój pojazd odzyskać. Poza tym on jeździł szybciej, był sprawniejszy i pod nim te drewniane kółka strasznie hałasowały. Na dodatek ja z nabożnym szacunkiem podchodziłam do wymarzonego urzędnika, a Lolek zupełnie go nie szanował. Jak skończył jazdę, bo się zmęczył albo zawołano go na obiad, rzucał deskę byle jak i byle gdzie. Nic więc dziwnego, że nie byłam zachwycona ani temu chętna, gdy Lolek sam zaproponował, by hulajnoga „parkowała” u niego w mieszkaniu. Przecież on jest zawsze w domu, nigdzie nie wychodzi, niby gdzie ma iść, kiedy rodzice w pracy, w każdej chwili, kiedy tylko zechce, może hulajnogę znieść na podwórko. Jest silny i potrafi wnieść ją potem sam, zwłaszcza że pierwsze pięto to nie drugie. Rodzice, już zmęczeni targaniem w górę i w dół ciężkawej hulajnogi, szybko na taką ofertę przystali. Niestety, zaproponowany układ sprawdził się tylko częściowo. Było trochę jak w dowcipach o komunikatach Radia Erewań, że na placu Czerwonym rozdają samochody, a w sprostowaniu, iż nie samochody, a rowery, i nie rozdają, tylko kradną. Lolka a to niby nie było w domu (oczywiście udawał), a to miał katar i nie mógł wyjść, a to jeszcze coś innego. Czasem wynosił hulajnogę na podwórko i szalał na niej, niemilosiernie hałasując, a jak ja chciałam pojeździć, wnosił ją na swoje pierwsze piętro szybciej, niż zdołałam zejść z drugiego. I tyle mojego.

Za którymś razem czara goryczy się przelała. Kiedy Lolek nie odpowiadał na moje uporczywe dzwonki do drzwi, zbiegłam na podwórko i głośno krzycząc z dołu, domagałam się, żeby wyszedł na balkon. Zadzierając głowę, widziałam swoją hulajnogę, jak stoi oparta o balustradę, bo niedawno odkryłam, że tam ją ten niechluj „parkował”. Darłam się pod jego balkonem i darłam, aż po pewnym czasie Lolek niechętnie się wyłonił i – chcąc nie chcąc – przyznał, że rodzice wyszli i za karę zamknęli go w domu. Dziadek się zezłościł, jak zobaczył, że jego wnunio na hulajnodze aż do Marszałkowskiej dojechał, doniósł rodzicom, a ci w krzyk, że to niebezpieczne,

że miał jeździć tylko po podwórku. Ma szlaban aż do ich powrotu z pracy. Proszę bardzo, mogę sobie wrzeszczeć, przecież co on ma zrobić, jakim cudem się wy dostać. Przez dziurkę od klucza nie przejdzie.

Byłam tak rozjuszona, że ani myślałam ustąpić. Z zadartą głową darłam się, że ja muszę mieć hulajnogę, i to już! Nic mnie jego kary nie obchodzi. Lolek, znudzony moimi wrzaskami, zniknął w mieszkaniu i po chwili wrócił, niosąc kłębek sznurka. Widziałam, jak stara się zasupłać węzły na kierownicy, sprawdza, czy mocne, z wysiłkiem przekłada hulajnogę przez metalową barierkę. Ostatnie, co pamiętam, to drewniana deska z kolami po raz pierwszy widzianymi od spodu. Potem przerażający błysk jasności! I koniec filmu.

Nim zaalarmowana hukiem Mama zbiegła na podwórko, pod balkonem znalazła mnie Wandzia Cielenciniara. Wchodząc w bramę, widziała całą tę scenę balkonową, ale zamarła z przerażenia i nic już nie zdołała uczynić, żeby zapobiec katastrofie. Jedyne, co potem mogła zrobić, to odłożyć swój tobolek z nielegalną ćwiartką cielaka i zanieść mnie, niewiele więcej ważącą, na drugie piętro do naszego mieszkania. Lolek, przerażony, zniknął z balkonu i przez następny tydzień nie pokazał się na podwórku. Jeśli chodzi o mnie – spotkanie z latającą hulajnogą skończyło się szczęśliwie na kilku potężnych guzach, spływających z czasem w różnobarwne siniaki pod okiem. Hulajnoga, kiedy ideał sięgnął bruku, definitywnie zakończyła żywot. Dziś pewnie rodzice byłiby ściżani z urzędu i piętnowani w telewizji za brak opieki nad dzieckiem. Wtedy, gdy tylko po kilku dniach minęło przerażenie, że doznałam wstrząsu mózgu, to mnie się oberwało za brak rozsądku. Podobno ostrą reprimendę od swoich rodziców dostał i Lolek. Ale nie popsuło to stosunków sąsiedzkich na naszej klatce schodowej. Rodzicom nawet nie przyszło do głowy, by lecieć na skargę do państwa M. czy wywołać z takiego powodu wojnę klanów. Całą sytuację starano się obrócić w żart, tyle że z wychowawczym wydźwiękiem. Jako ofiara hulajnogi stałam się obiektem troskliwego zainteresowania mieszkańców całej oficyny. Sąsiedzi z różnych pięter starali się umilić mi okres, krótkiej na szczęście, rekonwalescencji. Dobrotliwie żartowano sobie ze zmieniającej się palety kolorów moich siniaków, pani Czesia co rusz podrzucała jakiś smakołyk, pani Stasia zrobiła specjalnie dla mnie swoją słynną rybę po grecku. Cóż znaczył taki wypadek w kamienicy, w której wszyscy przetrwali razem okupację i powstanie?

Wniosek, jaki z tego bolesnego zdarzenia na Nowogrodzkiej wyciągnęłam? Stałam się tolerancyjna dla własnych drobnych szaleństw. Mam do nich prawo – jestem przecież od dzieciństwa stuknięta w głowę. A poza tym – powinnam strzec się hulajnóg oraz nieodpowiedzialnych facetów. W każdym wieku. Jak dotąd, udało mi się to tylko w pewnym stopniu...

Anna Kalinowska

Dawid Kornaga**Miłość i zbrodnie w czasie wolnym***(fragment powieści)*

Życie Doroty do łatwych nie należy. Ani w przeszłości, ani obecnie. Ten sam dziesięciopiętrowy blok. Na piętrze drugim rodzina Ani, na piątym Doroty. Ojciec Doroty pracował w zakładzie oczyszczania miasta. Zmarło mu się w ramach nieodwracalnych powikłań wątroby na... jedenaście miesięcy przed jej narodzeniem. Więc sprawę poczęcia ewidentnie musiał przejąć ktoś inny. Matka Doroty utrzymywała twardo, że córeczka jest pogrobowcem. Sąsiedzi przytakiwali, pewnie, o tak, tak, którejs nocy Franek powstał z grobu i ostatni raz postanowił rozgrzać małżeńskie łożo. Dyskretnie tę uwagę pozostawiali dla siebie.

Co do rozgrzewania łoża. W pakiecie z całkiem intrygującą fizycznie mamą, robili to później różni wujkowie, młodszy, starsi, średnio co kwartał nowy. Z każdym było coś nie tak. Zazwyczaj mężczyźni po przejściach, takich dosłownych i metaforycznych. Praktycznie co drugiego dotknął tak zwany smutny los. Niektórych rozjechał. Jak obliczyła już dorosła Dorota, na dwudziestu ośmiu konkubentów mamy ponad połowa wykazywała niezdrowe zainteresowanie jej zjawiskową córeczką, jej „rudością”; rozczulali się piegami, głaskali po główce.

Żeby tylko.

Matka podupadała coraz bardziej na zdrowiu. Praca w szkolnej stołówce nie służyła jej na dłuższą metę i depresyjną setę plus salceson czy inną formę przetworzonej fauny. Pot, tłuszcz i niska płaca podkopywały jej pewność siebie. Co z tego, że obiady Dorotka miała za darmo, jak razem z nimi dostawała na deser maminyh patokonkubentów. Scenki układają się w reportaż interwencyjny, w którym zabrakło policji, więc Dorotka musiała radzić sobie sama.

Więc radziła.

Matka akurat w szpitalu, jakieś tam kobiece sprawy. Nieprawda. Dziewiąta z kolei aborcja, bo piguły czy spirale to skomplikowana sprawa, więc nic z tego, zlorzeczyła matka na szpitalnym łożu. Dorotka w mieszkaniu.

Z wujkiem numer szesnaście. Dorotka się kąpie. Wybija godzina przeznaczenia. Wujek numer szesnaście wchodzi do łazienki, Dorotka zapomniała zamknąć drzwi, brała prysznic w wannie, naga, bezbronna. Kuca momentalnie, zakrywając swoje dziewczęce łono, wujek uśmiecha się do niej, Dorotka ma już krzyknąć, kiedy mężczyzna odwraca się w stronę muszli klozetowej i bez zażenowania opróżnia pęcherz po ostatnim sześciopaku. Długo sika. Rozdygotana ze wstydu i strachu dziewczynka szykuje się na alarmowy krzyk, zimno jej w tej wannie, najchętniej by się podtopiła. Wujek zapomina spuścić wodę, wali klapą (wtedy sedesy z wolnoopadającą były rarytasem jak pierwsze komórki), bekając przaśnymi seriami z przepitej gardzieli wychodzi chwiejnym krokiem z łazienki, o Jezusku, dzięki ci, świergocze Dorotka. Wizja dobrania się do kolejnego sześciopaku jest dla wujka numer szesnaście bardziej kusząca niż wizja dobrania się do sześciolatki.

Wujek numer dwadzieścia był bardziej zdecydowany. Udało mu się raz włożyć Dorotce palec, nie za głęboko, ale jednak. Co jego, to jego. Wykorzystał jej chorobę, gorączkowała, powiedział, że postawi jej bańki, na osobności, i wtedy to się stało. Dorotka wydała z siebie pisk, przewróciła się na plecy, bańki pospadały na łóżko i podłogę, wujkowy palec wyslizgnął się siłą rzeczy z miejsca molestowanego, mała otworzyła buźkę, lecz nie krzyknęła, podniosła się i chapnęła mężczyznę w płatek lewego ucha; tak, ugryzła szubrawca z całych sił jak młodzianka zombiaczek. „Ty mała kurwo!”, zdążył krzyknąć, po czym uciekł raz na zawsze z mieszkania.

Ostatni konkubent matki oszalał na punkcie wówczas dwunastoletniej Dorotki. Zapowiadała się z niej taka Lolita, że pacnij, literaturo! Ale w wersji patolo. Nie dawał jej spokoju ten wujo, ciągle robił umizgi.

„Wiesz, ona sama mnie kusi, ta twoja córka to mała diaboliczna”, usprawiedliwiał się przed swoją rozkojarzoną konkubinią, wykorzystując fakt, że przechodziła menopauzę i miała swoje humory, które, jak twierdził, „nie pozwały mu być stuprocentowym mężczyzną”.

To był mistrz psychologicznej rozgrywki i niewiele go dzieliło od legalnego, normalnie na oczach matki, rozdźwięczona córki. Należał do pedofilówwędkarzy, którzy potrafią zarzucić wędkę i cierpliwie czekać na okazję. Późna letnia noc, bezecnik palił papierosa na balkonie, który trudno było nazwać balkonem, Dorotka nazywała go kuwetą dla palaczy, szeroki na dwie stopy do przodu, długi na dziesięć, najwyżej dwanaście.

Mężczyzna spoglądał na księżyc w pełni. Knuł plan, jak tu za parę godzin wy dostać się z łóża chorowitej konkubiny i bezszelestnie dobrać się do małej rudej. Czuł, że nadszedł dzień zasłużonego połowu. Przypomnił sobie, że zostało mu jeszcze trochę tego magicznego środka, który nazywają pigułką gwałtu. Zaciągnął się z przyjemnością, tak, to jest jego metoda na młodą rybkę Dorotkę. Zrobi starszej babie, jej mamie, herbatkę, dosypie prochy, kobita będzie spała jak kompania karna po całym dniu harówki w kamieniołomach. Ruda niunia może stawić opór, lecz on zna patenty na okiełznanie tego kurczaczka. Ech, będzie się działo, tego był pewny. Zaczął przeciągać się nad balustradą. Cisnął petem w ciemną noc. Czuł się jak marcowy kot. Musi przygotować mięśnie na nocne wyzwania. Bicepsy mają działać bez usterek, kiedy w razie czego zasłoni gówniarze ryja, by się nie darła, jak jej wsadzi. O, jak jej wsadzi, do kresu jej młodej cipki. Aż go zatelepało z podniecenia.

Nagle ze śmiałych marzeń wyrwało go „Hu-hu!”. Odruchowo podskoczył ze strachu. Dorotka szybko wróciła do swojego pokoiku. Na drugi dzień wujka już nie było.

I żadnego nigdy więcej.

Ocalała.

Mijają lata. Dorota przykłada coraz większą wagę do tego, by wszystko było w porządku.

Żadnych uchybień od prawa. Przynajmniej wokół niej.

Idzie do policji. Jedni zostają stróżami prawa, bo nie mają innego sposobu na życie, a sporo przyzwoitości, którą chcą uczciwie zmonetyzować. Drudzy często wybierają policję za przeszłe przewiny, w ramach wyrzutów sumienia i moralnej rekompensaty. Dorota nie wie, która opcja pasuje do niej najbardziej.

Dlatego szybko zostaje policjantem idealnym.

Jeden z pierwszych patroli. Pędzi mistrz kierownicy, przekracza prędkość o dwieście procent. Dorota podchodzi do jego sportowego samochodu. Mistrz łaskawie opuszcza szybę. Ukazuje swoje oblicze młodego, wyluzowanego bogacza. Na końcu języka ma utartą frazę: „Przecież to autostrada, poniosło mnie, ale wyprzedzam zgodnie z przepisami”. Chciałby przy okazji dodać: „Co wy tu robicie, psy? Spieprzajcie na drogi podporządkowane!”. Dorota zdaje się go nie słuchać. Wystawia mandat.

Młody, wyluzowany bogacz, może aktor, może dziedzic fortuny, oponuje. Wychodzi, zaczyna gestykulować jak stereotypowy Włoch, dmucha

na chama policjantce w twarz. Wydaje mu się taka nierzeczywista, ruda jak z jakiejś bajki, a nie patrolu policji. Alkomat. Trzeźwy jak świnia, a mimo to świnia. Młody, wyluzowany bogacz beka jej prosto w twarz. Dorota czuje odór jakiegoś wysublimowanego dania, bo jakżeby innego przy dochodach tego gnojka, jednak bardzo cierpkiego. W odpowiedzi sięga do kabury, „Na ziemię! Ręce za głowę!”. Młody, już niewyluzowany bogacz wykonuje polecenie. Jest przerażony. Zaczyna dygotać, jakby zaczynała mu się padaczka. Wycelowany w niego pistolet zdaje się gotowy do odpalenia. Kierowca jęczy i błaga o zmiłowanie. Płacze. Sika pod siebie. Traci prawo jazdy na kilka lat, kończy z wyrokiem za naruszenie nietykalności cielesnej policjanta. Dorota jest nieprzejednana, prawo jest po jej stronie.

Co wcale nie podoba się jej przełożonym. Ma ksywę Ruda Suka, nic na to nie poradzi. Nikt nie śmie wypowiedzieć tego w jej pobliżu. Jedni ją lubią, drudzy jej nie znoszą. Dorota na wszystkie sposoby próbuje osłabić swoją „rudość”. Najpierw związuje włosy, w końcu zaczyna je podcinać, nosi fryz chłopczycy, męczą ją pytaniami, czy nie jest lesbą, nie, nie jestem, musi się tłumaczyć, szału dostaje, o farbowaniu nie ma mowy, za dużo piegów, wyglądałaby jak strach na wróble udający człowieka – wmawia sobie, nie do końca przekonana o słuszności tego porównania.

Ale w ogólnym rozliczeniu jest nie tyle dobrą policjantką, co coraz lepszą. Nie interesują jej żadne awanse, uwielbia być na pierwszej linii, interwencji, stanowienie prawa i porządku w wersji namacalnej, patrolu, pościgi, mandaty, tysiące mandatów. W tym znajduje sens swojej pracy. Tu się spełnia. Karać tych, którzy ewidentnie na to zasłużyli.

Nie spełnia się za to na polu prywatnym. Wszystkie związki jak klocki domino legły dotąd jeden na drugim. Na portalach randkowych, jeszcze przed Tinderem, trwała regularna wojna o jej względy. Każde odświeżenie profilu skutkowało setkami propozycji. Co z tego, skoro już po pierwszej randce, kiedy tylko typ dowiadywał się, że siedzi przed nim policjantka, i to taka z patrolu interwencyjnego 24h, nie żadna tam z administracji, co wraca do domu po szesnastej, zaraz udawał niewiniątka i znikał, albo po kolacji, albo po pierwszym i ostatnim stosunku. Zdarzało się często Dorocie, że przyłapywała później niedoszłych narzeczonych za kółkiem, wtedy dostawali zasłużony maksymalnie mandat za przekroczenie prędkości, paru skończyło w areszcie przez procenty, a gdy pyskowali, za naruszenie nietykalności. Tak że tak, z Dorotą nie było żartów, jeśli chodzi o kodeks wykroczeń i wszelki inny kodeks.

Aż w końcu, jak to bywa, sama podpadła pod paragraf.

No, może bardziej kodeksu etycznego.

Dorota uwikłała się w romans z innym policjantem, z tych, którzy zawsze ją lubili i nigdy nie nazwali Rudą Suką. Mirek wpadł jej z wzajemnością w oko na szkoleniu strzeleckim. Daleko od miasta, w jednym z mazurskich ośrodków policji. Nikogo nie dziwiło, że Ruda Suka jak jakiś automat trafia w dziesiątkę, faceci czuli wręcz respekt i przerażenie, że ma tak doskonałe oko. Ich „honor” uratował Mirek, który w ostatecznym podsumowaniu celnych strzałów o dwa punkty wyprzedził Rudą Sukę. Po wszystkim podczas zielonej nocy było ostre picie, były ostre żarty, trzydziestu chłopca, dziewiętnaście kobiet, testosteron walił gdzie popadnie z mocą Niagary, przekomarzanki, toasty, potem poważne pijackie rozmowy przy ognisku, a potem, kto się dobrał w pary lub trójkąty, nastąpiło to i owo w pokojach ośrodka, jeszcze przed lockdownem numer trzy, Mirek i Dorota bezsprzecznie też wpadli sobie w oko, wymierzyli w siebie i trafili, bardzo trafili.

Na drugi dzień Mirek powiedział, prawie płacząc w kołdrę, którą zdarł z uda półśniącej, szczęśliwej jak nigdy Doroty:

– Wiesz, mam żonę, siedem lat jesteśmy, ja jej już nie kocham, ona nauczycielka, wraca do domu, mnie nie ma, ona jest, ona chce dziecka, robi wszystko, by mnie usidlić, wiesz, ja jej nie tykam, muszę to zakończyć, zwłaszcza teraz, lepiej szybciej, bo potem puści mnie w skarpetkach, ta, prędzej na bosaka.

W odpowiedzi dostał od Doroty w policzek.

Przez kolejne miesiące, aż prawie do teraz, sporadycznie ze sobą sypiają. Ale sypiają. Dorotę gryzą rozterki, moralniaki gorsze niż wszystkie okresy razem wzięte, jakoś tak, sama już nie wie. Co z tego, skoro wystarczy, że zobaczy Mirka i zaraz jakoś tak mięknie, cała jej bojowość siada, ma ochotę usiąść na nim i ruszać biodrami do samego dojścia. Cierpi. Wierzga. Dlaczego cudzy mężowie tak często okazują się naszymi mężczyznami życia, pyta co rusz niewidzialnego psychoterapeutę. Ustalają grafik spotkań na podstawie grafiku służbowych dyżurów. Stopniowo Dorota coraz bardziej ma dosyć swojego romansu, Mirek coraz bardziej się angażuje. Ona się odkochuje, on się zakochuje. Świadomy, że ona jest wolna, on nie. On obiecuje, że będzie. Ona nie wierzy. To wierzy. To znów nie.

Zorientowała się, że choć pragnie go fizycznie, tak na zabój, to gdy widzi go służbowo, ma ochotę zapomnieć o nim i złożyć dymisję. Nie tak miało być po tych wszystkich wujkach, by uciekać od mężczyzn i w efekcie

pakować się w toksyczne związki, mamie się, że kolejne kłamstwa wreszcie zamienią się w prawdę.

Mirek boksuje się z żoną, rozważa kolejne kroki, jak odejść od niej. A może Mirek łgnie do żony. Kombinuje, jak sprzedać swoje szczęście jako nieszczęście. Byle dzięki temu, na boku, podkarmiać tymi ściemami atrakcyjną, mało powiedziane, raketę kochankę. Dorocie przechodzi ochota na bawienie się w detektywa. Dorota chce służyć prawu, czy dla satysfakcji, czy dla zadośćuczynienia, bez komplikacji w miejscu zwanym przez nią wszechpieprznie łóżkiem. Spadajcie wszyscy kombinatorzy, żonkosie, inni tacy, chce zawyć.

Dawid Kornaga

Wiesława Oramus

Co nas łączy

Był nawet outsider. Dostał ten jednoosobowy pokój, prawie zawsze wolny z powodu specyficznego problemu z kanalizacją. Podobno czasami był tam smród nie do zniesienia, który może wsiąkać w odzież, a nawet skórę lokatorów. To wystarczyło. Na wszelki wypadek wszyscy w stołówce usadowili się z dala od niego, tworząc w ten sposób próżnię społeczną.

Okazało się jednak, że czuł się w niej wyśmienicie. Sprawiał wręcz wrażenie osoby, która nie może się czymś nacieszyć. Napawał się przestrzenią, swobodą ruchów w czasie konsumpcji, bo mógł sobie naznosić z bufetu talerzy, talerzyków, porozkładać tak jak chciał i delektować potrawami starannie dobranymi, bez konieczności gadania i zakłócania sobie przyjemności płynących z jedzenia. A w czasie deseru, kawki, wyciągnął z kieszeni smartfon i chyba wszedł na jakiś ulubiony portal, co zdradzała nie tylko mimika, ale i tłumiony śmiech, chichot.

Grupa oczywiście reagowała na jego zachowanie właściwie, zachowywała tak jak powinna wobec outsidera. W oczach moderatorki można było dostrzec dezaprobatę, a nawet pogardę z powodu lekceważenia wszystkich norm społecznych. a on nie zauważał tego potępienia, odsuwania się, obracania bokiem, tyłem do niego, uśmieszków politowania, U niektórych... zazdrości. Tych, którzy mimo skłócenia, wrogości, zadawnionych konfliktów musieli siedzieć obok siebie, podawać sobie uprzejmie solniczkę, serwetkę, albo jakiś półmisek... A ponieważ nie patrzył na nikogo, zajęty smartfonem, zareagowano na niego tak... werbalnie. I niby tak na najwyższym poziomie ogólności zaczęto głośno wyrażać opinie – a to, że ktoś myśli, że jest sam na świecie, że nic nie musi, a to, że sądzi, że może być takim egoistą, żyć poza grupą, tylko dla siebie, Ci zazdroszczący byli najaktywniejsi.

– A my tacy nie jesteśmy. Nigdy nie byliśmy... Prawda? To retoryczne pytanie padło z ust moderatorki, to jest nieakceptowalne w naszym społeczeństwie, w naszej kulturze. My zawsze... – Chciała kontynuować, ale weszła jej w słowo najmłodsza kursantka, stażystka i stwierdziła, nie ukrywając zdumienia, że coś jej tu nie gra, czegoś nie rozumie. Ucichła, gdy starsi zaczęli sobie z niej pokpiwać, że za młoda na to, że dorośnie to rozumie, a moderatorka podniosła rękę, przez chwilę trzymała otwartą

dłoń z rozwartymi palcami, co oznaczało wezwanie do uciszenia grupy. Po chwili stwierdziła, że to wspaniały wstęp do debat, do pierwszej zaplanowanej na dziś, przy kawce, ciasteczku i zarządziła przerwę.

Poszło jej dobrze to przywoływanie faktów, opis zachowań całego narodu zawsze zjednoczonego w sytuacjach zagrożeń zewnętrznych i wewnętrznych, bo przecież z wykształcenia była historykiem.

Po wystąpieniu nastąpiła cisza, ludzie byli jak w trakcie seansu spirytystycznego, którym ukazał się ten sam duch. Tym razem... Duch wspólnoty?

Po chwili dał się słyszeć śmiech, chichot, pojedynczy. Wszyscy patrzyli na outsidera, a on siedział nieruchomo, z zamkniętymi oczami, ustami, Drzemał? Do śmiejącego się dołączył sąsiad, zachichotał, potem, ktoś mu zawtórował, ktoś zarechotał, ktoś wręcz zapiszczał, ktoś płakał ze śmiechu.

Ktoś stwierdził, że jeszcze nigdy nie widział tak wielkiego zróżnicowania, zindywidualizowania jakiegoś ludzkiego zachowania i zaczął się śmiać, tak po gwiazdorsku, odsłaniając zęby, koncentrując całą uwagę na stanie uzębienia – zresztą idealnym, gwiazdorskim, Inni zaczęli naśladować, ale różnie to wychodziło, więc więcej było do oglądania niż do słuchania, a outsider ocknął się, może wyrwał z drzemki i po chwili dezorientacji zarechotał, śmiał się, rechotał... trzymając się za brzuch, wijąc na stołku Jakby na widok jakiegoś śmiesznego przedstawienia. Wszyscy zaczęli się śmiać z niego, z jego śmiechu. Trwało to dosyć długo, aż moderatorka znowu podniosła dłoń, rozwarła smukłe, zadbane palce i powiedziała, że śmiech leczy, ale i jednoczy, bo przecież są chwile powagi i chwile zabawy. Nie zareagowała na uwagę jednego z kursantów, że wszyscy śmiali się jak głupi do sera, nie wiadomo kto z kogo i dlaczego, oznajmiła, że teraz przez godzinę każdy może robić to, na co ma ochotę.

Wyszło kilka osób, wszyscy kierowali się w stronę palarni urządzonej na podwórku, za krzakami, oddawali się wspólnej pasji, dopóki nie przegoniła ich ulewa.

Pozostali dobrze się czuli w budynku, zapanował taki miły luzik – przy automatach, przy stolikach, z kawką, herbatką, sokiem. Ktoś włączył muzykę, ktoś poprosił kogoś do tańca, ktoś pojedynczo jak baletnica, primadonna wybiegł na środek sali, ośmielił innych do tańca solo. Niektórzy woleli w kółeczku, jak na tradycyjnych zabawach, inni zginąć w tłumie, jak na dyskoteci. I wszystko szło wspaniale, roztańczył się tłum, aż w którymś momencie ten zbiorowy taniec zaczął przypominać jakiś dziwny pług, podrygiwanie starców z problemami z koordynacją ruchów, wszystkimi

schorzeniami kończyn górnych i dolnych. A to z powodu przedziwnego utworu – jak ktoś stwierdził potem – jakiejś kociej muzyki.

Moderatorka wyłączyła urządzenie, stwierdziła, że czasami tak trzeba. Dla dobra wspólnoty. Poparł ją outsider, zaczął klaskać i śmiać się głośno – jak gdyby nie przyjął do wiadomości, że ta część programu już się skończyła.

Przestało padać Ludzie zaczęli pojedynczo i grupami opuszczać salę, przechodząc obok umiejscowionego blisko drzwi krzesła outsidera. Rozproszyli się po całym budynku, ktoś wchodził do swojego pokoju, ktoś wychodził na taras na półpiętrze, skąd rozciągał się widok na całe miasteczko. Sporo osób poszło na plażę. Na twarzach można było dostrzec agresję, poddanie się, apatię, zachwyty zachodzącym słońcem albo łyzy. Ktoś wyciągnął z plecaka piwo i papierosy i zaciągał się, popijał, nie ukrywając jaką sprawiało mu to przyjemność, ktoś brodził po wodzie, ktoś pobiegł przed siebie, jak gdyby rzucił się do ucieczki.

Wrócili na kolację. Znowu każdy musiał przejść obok krzesła outsidera.

Dały się słyszeć głośne uwagi – co za zapach, markowy, dobrej marki, a mówiono, że kto z tamtego pokoju, ten śmierdzi. Wieczorem, po kolacji, sporo osób zaczęło się kręcić wokół jego pokoju, zbliżając się nawet do samych drzwi, do dziurki od klucza, ktoś przyłożył nawet nos do otworu. Każdy robił to po kryjomu, chodził na palcach, rozglądał się wokół, czy ktoś go nie widzi i dopiero wieczorem, w tych dwu, trzyosobowych pokojach dochodziło do dzielenia się opinią, histerycznych krzyków oburzenia, wściekłości, ironicznego śmiechu, trzaskania drzwiami. Długo trwało też wygaszanie świateł, wyciszanie się, zapadanie w sen, zanim dały się słyszeć tylko odgłosy chrapania, posapywania, mrużenia.

Rano outsider musiał walczyć o swoje outsiderstwo w stołówce, co mu się nie udało, bo wszyscy przysuwali się do niego, rozpychali łokciami, żeby zagarnąć jego przestrzeń, a w sali konferencyjne kilka najmłodszych, najatrakcyjniejszych rzuciło się równocześnie na krzesło obok tego, na którym usiadł. Wygrała najładniejsza. Po prostu nieoficjalna miss grupy.

Moderatorka stała obok tablicy, czekała cierpliwie, aż wszyscy zajmą miejsca i dopiero wtedy zaprezentowała stronę grzbietową prawej dłoni uniesionej wysoko, uciszyła grupę i poprosiła o zmianę miejsc według narzuconych przez nią reguł. Oznaczało to powstanie, podejście do wiklinowego koszyczka wypełnionego karteczkami z numerkami krzesła. Nikt do tej pory nie zauważył, że krzesła były ponumerowane.

Kiedy już zapanował nowy ład, moderatorka oznajmiła, że dziś, w takich okolicznościach, a może właśnie dlatego, że w takich, spróbujemy zastanowić się, co nas łączy, co nawet w niesprzyjających okolicznościach powinno decydować o prospołecznych zachowaniach.

Zaczęło się wyliczanie, moderatorka wszystko zapisywała na wielkiej tablicy – sala, udział w szkoleniu, narodowość, religia, tradycja, kultura, cechy płciowe,

Czasami, mimo protestów, leciutko ingerowała w wypowiedzi i zapisywała na przykład bielizna a nie gacie, które każdy nosi, omijając uwagi typu – albo chętnie ściąga.

Pomysłów było wiele, wszystkim chyba podobała się ta zabawa, moderatorka też była zadowolona, prawie jak wszyscy uczestnicy, jakby była jedną z nich, chociaż sama nic nie proponowała. Kiedy zapisała obie tablice, zarządziła: – A teraz proszę, aby każdy wszedł na krzesło. Podniosła prawą rękę do góry, kręciła nią w powietrzu, były to ruchy koliste, które po chwili przeszły w dyrygenckie.

Zapadło milczenie, wszyscy patrzyli na siebie, na nią zdezorientowani, skonsternowani. Ku zdziwieniu wszystkich, outsider zrobił to bez wahania. To zachęciło innych. Po chwili tylko nieliczni, ale to chyba ze względu na swoją tuszę, zostali w pozycji siedzącej, wierzili się na krzesłach i powtarzali: a po co to, a dlaczego, a czemu ma to służyć? Ci stojący na krzesłach potraktowali ten eksperyment jako okazję do zaprezentowania wszystkich swoich walorów. Niektórzy wyglądali przepięknie, a już miss grupy szczególnie, gdy upozowała się na Nike. Albo, jak twierdzili inni, na tę aktorkę, co to na dziobie statku...

Moderatorka przyglądała się w milczeniu, opierając prawą dłoń na biodrze, a potem tym swoim dyrygenckim ruchem zakończyła tę część szkolenia. Zanim zarządziła dwugodzinną przerwę wyjaśniła, że w tej „zabawie” nie chodziło o zmuszanie do posłuszeństwa, bo to przecież signum poprzedniej epoki, ale o wykazanie się solidarnością, chęcią okazaniem swojej zgody na przynależność do grupy, uznawania jej wartości, postaw, nawet w skrajnych sytuacjach.

Nie było jej w czasie obiadu, co pozytywnie wpłynęło na nastroje. Można było sobie pogadać tak jak zawsze, w swoich grupkach, odcinając się od innych, albo nawet pogadać o innych, nie szczędząc złośliwości, albo po prostu spokojnie jeść, nie zwracając na nikogo uwagi.

Zepsuła to najstarsza kursantka, która jakimś cudem została przyjęta do pracy mimo wieku emerytalnego, dłuższej przerwy, bo z płaczem

wyjaśniała, że ma kredyt do spłacenia, a z cienkiej emerytury... Teraz zakłócała spokój ludziom, pytając: a co taka mina znaczy, a co takie machanie rękę, a taki uśmiech, a takie miny, a w końcu, czy to jest jakiś kurs języka migowego dla głuchoniemych, czym rozbawiła wszystkich. Jeszcze bardziej, tak że wszyscy śmiali się do rozpuku, gdy powiedziała: tak to przecież składa się ręce do modlitwy – zademonstrowała splecione palce. Ktoś w przerwach między atakami śmiechu pytał: ciekawe, czy te modlitwy były po pochodzie pierwszomajowym czy przed, ciekawe, czy pamięta, jak się prezentuje dyktaturę proletariatu, a ktoś inny, trzymając się za brzuch, w paroksyzmach śmiechu powtarzał – nowa wersja wieży Babel, nowa wieża Babel...

– Mam wspaniałego syna. To były pierwsze słowa na popołudniowym spotkaniu. A pani? – zwróciła się z pytaniem do najbliższej niej usadowionej kursantki. Ta powiedziała, że ma również wspaniałego syna, kolejna, że przewspaniałą córkę i syna. Padały też określenia: przewspaniały, najwspanialszy, najwspanialszy, najwspanialsza ze wspaniałych. Emerytka upomniała się o pamięć o wnukach, młodsze o jeszcze te w drodze i te nienarodzone.

Każdy był zachwycony, wyliczając, i każdy po chwili przygaszony, widząc tę otwartą dłoń, jako znak do zakończenia wypowiedzi. Tylko dwie kursantki sprytnie przekazały informację poszerzoną, zaczynając zdanie od: genialny syn olimpijczyk, wybitny syn muzyk, nadzwyczajnie utalentowana córka doktorantka itd.

– I to nas też łączy. Rodzina, rodzina, rodzina, rodziny, pod swoim dachem i pod jednym wielkim dachem naszego wielkiego, wspólnego domu. – Moderatorka zatoczyła całą ręką koło, jak gdyby rysowała w powietrzu tęczę. – Wszyscy mamy najwspanialsze dzieci, a szczegóły my, rodzice, możemy sobie przedstawić w czasie przerwy, przy kawce.

– Tylko mnie proszę nie liczyć – odezwał się outsider. – Nie cierpię bab opowiadających te wszystkie dyrdymały, bzdety, pierdoły.

Grupa jak jeden mąż okazała dezaprobatę, dała mu odczuć, że jest outsiderem, a moderatorka stwierdziła: jesteśmy tacy różni, tak zindywidualizowanymi, autonomicznymi bytami, a jednak w sytuacjach skrajnych potrafimy działać solidarnie, złączeni więzami nie tylko pokrewieństwa...

Outsider wykorzystał to odrzucenie i ostentacyjnie wyszedł z sali, za nim, po chwili, prawie niezauważalnie, wymknęła się ta młoda piękna.

W grupie zapanowała bardzo przyjemna atmosfera. Zaczęło się wyciąganie smartfonów, pokazywanie zdjęć, sfilmowanych świadectw,

szkolnych dyplomów, wyróżnionych prac, nagranych recytacji, fragmentów przedstawień i odreagowanie ochów i achów zachwyty oglądających. Po jakimś czasie dały się jednak zauważyć na twarzach oznaki znużenia, irytacji, zmęczenia. Kursanci pojedynczo zaczynali opuszczać salę i potem już w swoim gronie dzielić się uwagami: a to, że grube te dzieci albo załatawione chyba po znajomości nagrody, nepotyzm, przepychanie, przesada z tymi talentami, urodą, i o zaślepieniu ktoś napomykał, i o braku krytycyzmu, pyszałkowatości.

Zaczęło się szukanie outsidera, żeby do niego dołączyć, ktoś nawet powiedział, że jedyny mądry, wiedział, co zrobić. Niestety, nigdzie nie można go było znaleźć, nikt nie potrafił powiedzieć, gdzie jest.

Grupa, wszyscy razem i każdy pojedynczo, poczuli się... porzuceni? Reakcje na to były różne: od ironicznego śmiechu po płacz, naburmuszone miny, nadymanie się takie, „że tylko – uważaj, uważaj, bo zaraz pęknieś”, wyniosłość, tłumiony żal; każdy coś, po swojemu.

I byli tak podobni do siebie, tak połączeni! A moderatorka, obserwująca ich cały czas dyskretnie, z dystansu zaczęła popołudniowe zajęcia od stwierdzenia, że jesteście niewiarygodnie różni; ekstrawertycy, introwertycy, słuchający tylko siebie, otwarci na innych, cholerycy, nieśmiali i odważni, ale wszyscy tak samo, jak kania dżdżu potrzebujemy do wzrostu samorozwoju tego samego. Czego? – zaskoczyła wszystkich tym pytaniem. Dopiero po długiej chwili, może dzięki jej gestom zapraszającym do wypowiedzi, zaczęły padać słowa: akceptacja, miłość, uznanie, przynależność, poczucie bezpieczeństwa.

Moderatorka zapisywała wszystko na tablicy, często powtarzając: – Tak, tak, to nasza potrzeba, tego potrzebuje każda istota ludzka.

Grupa odżyła, każdy miał coś do powiedzenia, trzeba było ustalać kolejność, skracać wypowiedzi, segregować, oddzielać te dotyczące wredoty teściowej, od podłej konkurencji w każdej dziedzinie życia, potrzeby pochwały od rodziny za dobry obiad od sztuki sprawiedliwej oceny każdego pracownika, docenienia jego wkładu w funkcjonowanie instytucji, żeby ktoś zauważył jak się staram, jak schudłam, jaka jestem zajęta dziećmi – wyliczali, wymieniali, moderatorka nie nadażała za ta ekspresją emocji, potrzeb, gubiła się w kolejności dopuszczania do głosu, ta jej dłoń przypominała chorągiewkę na wietrze, kiedy zabrakło miejsca na obu tablicach powiedziała – koniec. Bo każdy słuchał już tylko siebie, wylewał swoje żale, sygnalizował, jakie ma potrzeby.

Moderatorka zarządziła, że każdy ma zwrócić się do sąsiada, patrzeć prosto w oczy i słuchać go, by pięciu minutach zamienić się rolami.

Nie bardzo się to udało, prawie nikt nie wytrzymał pięciu minut słuchania.

Był to jednak dobry wstęp do następnego spotkania. Przy kawce, drobnych słodkościach mógł opowiedzieć o sobie o tym, co lubi, co było najlepsze, najgorsze w jego życiu, z czego są dumni. Najmłodszy zaczął opowiadać bez żadnych zahamowań, starsi otwierali się z trudem, wróciły upiory przeszłości, wspomnienia takich... co to potem donosili o wszystkim, gdzie trzeba, a ze wszystkiego można zrobić coś, co potem będzie wykorzystane do niszczenia życia, kariery. Ale czasy się zmieniły – zauważyła moderatorka, poza tym, aktywni byli przede wszystkim najmłodszy, a oni o jedzeniu, ciuchach, choinkach mówili, o... lajkach, siłowniach, wycieczkach... kreacjach celebrytek, makijażach, make-upach, o orientacji, przynależności...

– Szczęśliwe pokolenie – westchnęła seniorka grupy, a jej koleżanka stwierdziła z ironią: – O to walczyłeś, po to cię pałowali, żeby ich dzieci... Pamiętasz ojca tej... miss?

Seniorka machnęła ręką, ale słuchać dalej nie chciała, wyszła z sali.

Moderatorka następnego spotkania zaczęła od: –...różnice międzygeneracyjne, mogą coś zakłócać, ale... każdy ma swoje doświadczenia, dla innych nieważne, już przebrzmiały... Jednak każdy...

– Wypatruje promocji w supermarketach – dokończył za nią jeden z grupowych wesołków.

Rozbawiło to wszystkich tak, że moderatorka musiała przerwać zajęcia. Po całym budynku niósł się ten śmiech, po prostu trzęsły się ściany, nikt nie zwracał uwagi na to, jaki ma przy tym wyraz twarzy, jak prezentuje stan uzębienia. Hałas był taki, że za chwilę w drzwiach pojawiła się gospodyni budynku, zaczęła bacznie przyglądać się wszystkim uczestnikom. Moderatorka uspokoiła ją tym swoim ruchem dłoni i mimiką, pokazującą tym razem, że jest ok, panuje nad sytuacją. Wiedziała, że gospodyni po ostatnim szkoleniu studentów, którzy zalali budynek, hałasowali tak, że okoliczna ludność zawiadomiła policję, a za paradę równości proboszcz pokazywał ją palcem przez wiele tygodni, jakby to ona odpowiadała za pomysły studentów, stała się bardziej czujna.

W tej chwili za jej plecami stanął outsider i miss, wyglądali jak na święcie Neptuna, oblepieni od stóp do głów wodorostami.

– Takie jest nasze morze, taka kąpiel... Mamy zdjęcia, wyślemy, gdzie trzeba – powiedział.

– Była informacja o zakazie kąpieli – spokojnie stwierdziła gospodyni budynku, a na pytanie, czy to koniec problemu, wzruszyła ramionami i wyszła. Miss i outsider też. A ciekawe kto to badziewsko posprząta? – dało się jeszcze słyszeć.

– I cóż znaczą nasze drobne, w porównaniu z tym problemy – padło retoryczne pytanie z sali.

– Nic, nic, w końcu durna ludzkość załatwi tę naszą piękną planetę.

– Możemy coś zrobić, a przynajmniej robić – ożywiła się moderatorka.

– Co?

– Zjednoczyć się w obliczu zagrożenia – powiedział ktoś.

I od rozpoznawania, wyliczania rozpoczęły się następne warsztaty... Padały słowa: upadek wartości, zatrucie, terroryzm, kryzys demograficzny, ekonomiczny, pandemia, plagi.

– Co możemy zrobić? Razem? – spytała moderatorka, gotowa do zapisywania pomysłów.

– Protestować. Może jakiś happening?

– Tego nie przewiduje nasz program, niestety – poinformowała moderatorka zgłaszającego pomysł.

– No to, pogadamy, pogadamy, rozejdziemy się, rozejdziemy do naszych domków, niektórzy do swoich blokowisk – odezwała się seniorka.

– Liczyć, czy na czynsz wystarczy...

– A masło znowu podrożało – ze wściekłością stwierdziła jej sąsiadka, też wiekowa.

– I zamiast takich szkoleń, pewnie za ciężkie pieniądze, powinni chociaż jakieś bony dać, w końcu z naszych składek to wszystko jest opłacane.

Moderatorka słyszała to... i ktoś widział ją potem zapłakaną.

– Musiałam skończyć studia podyplomowe, żeby nie stracić pracy, wysłali mnie na takie, bo tam uzupełniali na siłę nabór, a mąż szefowej jest szefem na tym kierunku... I mogłam się nie zgodzić? – zwierzyła się zafanej osobie.

– Wiadomo, że nie mogłaś. Takie czasy, kiedyś pędzili na czyny społeczne, teraz mamy to, Jak mawiał świętej pamięci tatuś: jak nie urok, to przemarsz wojsk radzieckich. Ale dobrze ci idzie, bardzo dobrze. Wszyscy to potwierdzają.

Rozmowa była poufna, więc rozeszła się sobie wiadomymi kanałami lotem błyskawicy i wpłynęła znacząco na zachowanie grupy.

Wszyscy grzecznie, ale nie posłusznie, bo posłuszeństwo to relikwiedzi poprzedniej epoki, wymieniali to, co wszyscy znali już z mediów, kazań, przemówień, że najważniejsza jest jedność, że skłócenie szkodzi, że niezależnie od..., że, że, że...

Nikt nic nawet nie powiedział, kiedy okazało się, że outsider to syn moderatorki, a w jego pokoju nie zawsze śmierdzi – tylko w czasie odpływu czy przyptywu, a teraz tego nie było. W końcu wszyscy rozumieli, że każdy orze jak może, każdy musi... jakoś do tej emerytury dotrwać, dzieciom pomóc.

Na koniec szkolenia moderatorka bardzo subtelnymi, wyrafinowanymi metodami socjometrycznymi przebadła grupę i wyszło jej, ale to już nie zostało upublicznione, że wzrosło zaufanie do szefa, dyrekcji z powodu organizowania takich szkoleń bardzo przydatnych, podnoszących kompetencje zawodowe. To były dane do przekazania wyżej, przy okazji wizytacji, rocznych ocen pracy, ubiegania się o nagrody, awanse.

Przy wejściu do autokaru moderatorka wręczyła każdemu prezent od szefostwa. Okazało się, że były to bonusy. Do wykorzystania w zależności od potrzeb.

– Będzie na masło – odezwał się ktoś, ludzie zaczęli się śmiać, kierowca włączył silnik i radio. Każdy był bardzo zadowolony. W badaniu, małej ankiecie podanej do wypełnienia w trakcie podróży dotyczącej pracy moderatorki, anonimowej, wszyscy postawili najwyższą ocenę. Wszyscy.

Wiesława Oramus

Alicja Patey-Grabowska

Za postęp siup!

A wydarzyło się to TAM, TU, GDZIEŚ, o czym informowały globalne środki przekazu.

Prasa śledziła zapierające dech wydarzenia, niepokojąc ludzi, bo kojarzyły się z minioną Historią.

I

Do redakcyjnego pokoju gazety „Rum-Od” w miejscowości D., w którym przy długim, solidnym biurku urzędował naczelny Alex Per, wychudzony, z zapadniętymi policzkami, zażółconymi zębami od trzymanej w ustach wciąż kopcącej fajki, wpadł z impetem na elektrycznej hulajnodze redaktor Feliks Pipiday, zażywny, rumiany, tryskający podniecającą energią.

– Wydarzenie! Redaktorze. Wydarzenie! – krzyczał od progu przewracając z hałasem hulajnogę. – Nowa polityka władzy!

– Spokojnie, kolego, spokojnie – rzekł Alex Per, wypuszczając błękitny, pachnący ziołami dym z fajki.

– Dlaczego wy na hulajnodze? Nie jeździecie już samochodem? Tak się przejęliście zarządzeniami Przywódcy? Ciekawe co jeszcze wymyśli.

– Musimy dawać przykład! – krzyknął Feliks Pipiday. – Rozpowszechniać! Żadnych samochodów! Wszyscy na hulajnogach! A my, prasa, musimy zachęcać.

– Już wysmarowałem artykuł. – Wyjął z przewieszzonej prze ramię, brezentowej torby dwa arkusze papieru.

Na komputer wrzucę później, ale już wkrótce będzie koniec z komputerami, smartfonami. Wiecie, ile zużywają energii? To przeczytajcie broszurę „Groza z poza” naszego uczonego profesora Pitza.

– Czy nie jesteście za bardzo gorliwy, kolego? Spokojnie. Nie gorączkujcie się. Siadajcie. Mamy tyle różnych materiałów. Wasz artykuł poczeka. Musimy zamieścić reklamy, a jest ich na szczęście sporo. Z tego żyjemy, prawda?

– Ale mój artykuł... – zaperzył się Feliks Pipiday.

– Spokojnie, spokojnie, poczekajmy. Najpierw reklamy, informacje o niezwykłych wydarzeniach, o których trąbi całe miasto. A wy co, nie słyszeliście? Oj, redaktorze, redaktorze...

– E tam, że kogut zamienił się w kurę? Albo że z jajka wyskoczył kusy? I to z widełkami? Redaktorze naczelny, chyba nie chcecie...

– Oszukiwać ludzi – dokończył Alex Per, wypuszczając dymek z hebanowej fajki. – Czasami trzeba, kolego. Wy też ulegliście naciskowi i absolutnej iluzji.

– Ha, ha, redaktorze naczelny, jesteście odważni. Czy nie wiecie, że krzesła mogą służyć? Wasze biurko i muszla klozetowa... nie mówią o naszej sprzątacze Bilbinie.

– Ale – odezwał się Alex Per – żeby samochody odstawić, zrezygnować z komputerów, telefonów komórkowych? Cofniemy się do średniowiecza, do średniowiecza!

– Ha, to wasze zdanie, redaktorze naczelny – powtórzył Pipiday z naciśnięciem, nachylając się nad blatem biurka. – Wasze zdanie – powtórzył jeszcze raz głośno, nachylając się w stronę nogi krzesła.

II

Drrr... brrr – ryczy odkurzacz. Rura zakończona szczotką wciska się pod biurko, pod krzesła wsysając kurz z beżowej wykładziny podłogi.

– A co to? Bilbina nie wie, że już tak nie można?

W drzwiach stanął strażnik pilnujący wejścia do dwupiętrowego budynku, w którym mieści się redakcja, ubrany w czarny uniform i za dużą granatową czapkę ze srebrnym oblamowaniem przy daszku.

Bilbina, zażywna kobieta o pełnych policzkach, zadartym zawadiacko nosie, tłustych, ale umięśnionych rękach, co podkreślały uniesione rękawy różowej, obcisłej bluzki, wyprostowała się hardo.

– Jak to nie można? Alojzy mi zabroni, czy kto?

– Nie Alojzy – roześmiał się, ukazując przerzedzone zęby – tylko Przywódca. Teraz nie będzie brrr... brrr. – Podskoczył do niej i objął od tyłu, splatając dłonie na jej wydatnym brzuchu.

– Precz z łapami! Bo oskarżę o molestowanie! – krzyknęła, ni to groźnie, ni to żartobliwie, wykręcając się z jego objęć.

Odsunął się.

– Nie wierzycie? Teraz możesz tylko szczotką, a najlepiej miotłą, kochana.

– Dobre żarty – mruknęła.

– Nie żarty, nie żarty, to są nowe zalecenia naszego ukochanego Przywódcy. Powrót do dawnych dobrych czasów bez tej – wskazał palcem na odkurzacz – technologii.

– Naczelny redaktor kazał mi posprzątać i sprzątam, idźcie sobie, Alojzy, na dół. Zostawiliście budynek bez opieki. No już! I precz z łapami!

Chciał ją dotknąć, ale popchnęła go z całej siły, aż zachwiał się i uderzył potężnym korpusem o framugę.

– Ale baba narowista – mruknął. – Zobaczycie, od jutra tylko miotła i ścierka.

– Dobrze, dobrze. – Wyjęła z kontaktu wtyczkę odkurzacza.

Oparła ręce o blat biurka, zamyśliła się. Kto to wie, kto to wie? – wymamrotała cicho.

III

Dym z fajki przesycony zapachem ziół i liści czereśni spowijał redakcyjny pokój.

Przy biurku przed komputerem siedział zafrasowany, o jeszcze bardziej zapadniętych policzkach redaktor naczelny.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wpadł jak zwykle z impetem, uśmiechnięty od ucha do ucha redaktor Pipiday.

– Na frasunek dobry trunek! – wykrzyknął. – Widzę, że wieści was martwią, uwierzyliscie wreszcie.

– Siadajcie, mówcie – mruknął Naczelny.

– Na ulicach, jak już redaktor zauważył, jeżdżą tylko hulajnogi i to takie jak dla dzieci, do odpychania nogami. Dla zdrowia, jak to w ulotce napisał profesor Pitz. Już wkrótce będzie zbiórka komputerów, smartfonów i innych „cudów techniki”. Odkurzaczy też.

Przywódca kategorycznie zabronił dzieciom spoglądania w smartfony, rodzice muszą oddać, bo jak nie, wysokie kary, albo co innego. Podobno – ściszył głos – takie zarządzenia od chwili, jak jego dzieciak gapiąc się w telefon potknął się i wpadł głową w kubełek ze śmieciami. Ale afera! Nie można było głowy wyjąć, dzieciak nieomal się zadusił.

Jak wiecie, pisaliśmy o tym wydarzeniu, to znaczy ja napisałem, a ostatnio coraz więcej wypadków. Ludzie na ulicach zaczęli wpadać na siebie, bo każdy ze spuszczoną głową gapi się w smartfon.

– Oby tylko na siebie – mruknął Naczelnny.

– No właśnie – podchwycił Pipiday. – Czy nie widzicie, redaktorze, że nasz Przywódca wpadł na genialny pomysł? Zakazać i już. Zabrać te wszystkie urządzenia. Zakazać! Nakazać! – Pochylił się rozgrzany w stronę blatu biurka.

– Zakazać! – wrzasnął, aż Naczelnny wzdrygnął się i puścił dym z fajki prosto w zaczerwienioną twarz podwładnego. Pipiday zakasłał.

– A palenie fajek też będzie zabronione. Zobaczycie. Czystość powietrza! To przewodnie hasło. A zadaniem prasy jest propagowanie genialnych pomysłów Przywódcy.

– Można też wylać dziecko z kąpielą – mruknął Naczelnny.

– Jesteście sceptyczni, redaktorze. Nie popieracie świetlanych idei Przywódcy. Oj, niedobrze, niedobrze – pogroził grubym, wskazującym palcem.

IV

Wczesnym rankiem promienie słońca rozlały się złotą plamą na blacie redakcyjnego biurka, oświetlając również pełne policzki uśmiechającego się tryumfalnie, rozpartego na obrotowym krześle Pipidaya.

Alex Per stanął w drzwiach zdumiony.

– A wy co? Tak wcześnie? Za moim biurkiem?

– Za moim – roześmiał się Pipiday. – Od dzisiaj ja kieruję redakcją. A wy? Ode mnie zależy, czy będziecie redaktorem, czy gońcem, czy w ogóle kimkolwiek.

– Co? – zdumiał się Alex Per. Wyjął z kieszeni fajkę i już chciał ją włożyć do ust, gdy Pipiday wychylił się zza biurka i jednym ruchem wyrwał ją i rzucił na blat.

– Nie wiecie, że palenie fajek zabronione? Oto jeszcze jeden dowód przeciwko wam.

Owinął fajkę leżącą na biurku bibułą i włożył ją do szuflady.

– Komputer już wam skonfiskowano. W nocy zabrała go policja. Jesteście odnotowani jako wróg ludu. Nie oddaliście z własnej woli smartfona, komputera, odkurzacza, nie mówiąc o samochodzie.

Alex Per stał jak zamurowany. Nie mógł wydobyć głosu. Coś takiego mogło wydarzyć się tylko w koszmarnym śnie.

V

– O, Alojzy nie w mundurze? – zawołała Bilbina, która właśnie zamiatła podłogę miotłą z witek brzoszowych, na widok strażnika w rozciągniętym, przybrudzonym czarnym dresie.

– A wy od rana z miotłą? Nie śpieszcie się, kobito. Słyszałyście, że cztery z Klubu Ważnych Sprzątaček wyleciały przez okno na miotłach? A i inne szykują się do lotu.

– Ha, ha, ale ja was nie puszczę! – Usiłował ją objąć, ale ona odepchnęła go z wrzaskiem.

– Łapy przy sobie! Bo jak nie... – zamachnęła się miotłą. Oskoczył.

– Nie krzyczcie. I tak nikt nie usłyszy. W budynku nikogo nie ma. Redactory nie przyjdą. Redakcja zamknięta. Gazeta nie wychodzi. A wy co, zamiatacie tak za darmo? Dla kogo?

Stała, nie rozumiejąc.

– Jak to nie wychodzi? Redactory nie przyjdą? Miałam klucz i otworzyłam, musi być czysto, najlepiej odkurzaczem, a jak nie, to choćby miotłą.

– Miotłą, miotłą – powtórzył szyderczo. – Nie słyszycie tych krzyków za oknem? Wychylcie się, zobaczycie.

– Tylko łapy przy sobie – warknęła.

Podeszła do okna. Otworzyła. Na ulicy tłum młodzieży z transparentami. Buczenie trąbek, warkot werbli, ostre, rytmiczne dźwięki od uderzeń łyżkami, nożami w dna patelni i garnków.

Skandują: „Idiota za głupotą”.

„Kto przeciw cywilizacji, do kanalizacji”.

„Z takim precz, co cofa naród wstecz”.

Słychać buczenie dronów, które jak czarne ptaki krążą nad tłumem, nad budynkami. Jeden o mało nie wleciał do redakcyjnego pokoju, aż Bilbina cofnęła się przerażona i zamknęła z hukiem okno.

– No widzicie, słyszycie? Po co wam miotła. Te drony fotografują, nakręcają filmy, widzą i obserwują. Ale nasze miasto zrobiło się sławne! Drogi są zamknięte, policja pilnuje, aby nikt się nie wydostał. Przywódca jeszcze się trzyma, ale nie da rady. Postępu cofnąć nie można. Słyszysz, kobito? Nie można! Rzuć kobito tę miotłę!

Usiadł za biurkiem.

– Będziecie Naczelną Redachtorką.

– Co wy mówicie, Alojzy!

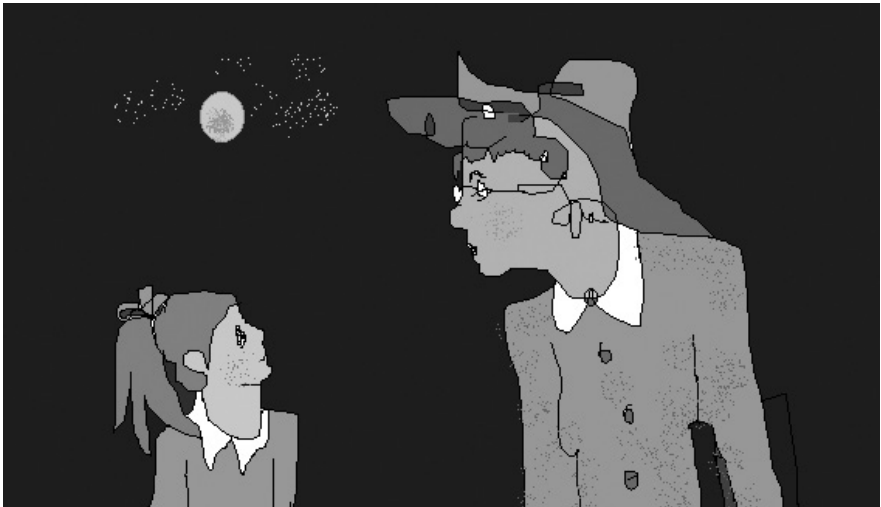
– A tak, a tak – popchnął ją, aż upadła na obrotowe redakcyjne krzesło.

On usiadł naprzeciwko niej i wyjął z torby butelkę z naklejką „Whisky”. Odkręcił zakrętkę. Jasnobrazowa ciecz wypełniła szklanki stojące na biurku obok karafki z wodą. Jedną postawił przed wciąż zdumioną Bilbiną, drugą podniósł do góry.

– Za postęp! Siup! – Wychylił. Skrzywił się. Przetarł rękawem wargi. Zaśmiał się ochryple.

– Ha, ha, ha. Za postęp! Do dna!

Alicja Patey-Grabowska



Nauczycielka

Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Małgorzata Karolina Piekarska

Ciastko

(*miniatura filmowa*)

PLENER. OGRÓD PRZED DOMEM.

Rok 1942. Chełm. Halinka, blondwłosa dziewczynka z dwoma cienkimi warkoczycami (lat 12) bawi się w przydomowym ogrodzie lalkami z rówieśnicami: czarnowłosą Krysią i Julką. Wysoko na drzewie siedzi 15-letni brat Halinki – Stefan. Śmieje się z dziewczynek, które nie wiedzą, że są obserwowane. Lalki usadowione są dookoła stołu prowizorycznie zrobionego z kilku desek i opartego na kamieniach. Na stole chustka na głowę robiąca za serwetę i malutkie porcelanowe naczynia – typowy serwis dla lalek. W filiżankach kompot. Na talerzykach owoce: porzeczki, maliny i agrest.

HALINKA

(zmieniając głos i ruszając jedną z lalek)

A więc uważa pani, że Malinowski kocha się w pannie Kowalskiej?

KRYZIA

(zmieniając głos i ruszając drugą lalką)

Tak droga Pani! Cały Chełm o tym trąbi! Wczoraj kupił jej ciastko...

JULKA

(przerywając zabawę)

A wiecie, jak ja bym zjadła ciastko?

HALINKA

Mam w domu. Zaraz przyniosę. Mama upiekła.

Halinka znika w domu. Julka i Krysia przesadzają lalki. Julka jedną z nich przebiera w inną sukienkę. Halinka wraca z tacą, na której stoją owsiane herbatniki w miseczce, kubeczki i dzbanek z herbatą. Stawia tacę na trawie. Nalewa herbatę do kubeczków. Podaje koleżankom.

JULKA

(sięgając po kubek)

Ile bym dała za to, by cukier nie
był na kartki.

HALINKA

Chcesz miód? Mamy! Przecież
tata ma pasiekę.

JULKA

To nie to samo.

Julka patrzy na Krysię. Ta potakuje głową. Przez chwilę milcząc, dziewczynki piją herbatę i pogryzają ciastka.

KRYSIA

(rozmarzona)

Nawet nie wiecie, jak ja bym zjadła kremówkę.

JULKA

Co za problem? Są w cukierni.

HALINKA

(zaniepokojona)

A herbatniki mojej mamy niedobre?

KRYSIA

Dobre. Ale kremówka to sama wiesz.
(Krysia rozmarza się) Najlepsza!

JULKA

To chodźmy kupić.

HALINKA

Ale cukiernia jest tylko dla Niemców.

JULKA

(wzrusza ramionami)

No to co? Wejść i kupić na wynos może każdy.
Dla Niemców to są stoliki.

HALINKA

Ale ja nie mam pieniędzy.

Krysia i Julka zaczynają szeptać między sobą. Chichoczą, patrzą co chwilę na Halinkę.

JULKA

Dobra. Ustaliłyśmy, że Krysia ci fundnie.

KRYZIA

Ale nie za darmo.

HALINKA

(zdezorientowana)

A co mam zrobić?

Krysia i Julka patrzą na siebie porozumiewawczo. Chichoczą, jedna trąca drugą.

KRYZIA

(jednym tchem, czerwieniąc się)

Masz pójść do Zalewskiego i spytać, po ile jest Olla Gum.

Schowany na drzewie Stefan dusi się ze śmiechu.

HALINKA

(zdumiona)

Olla Gum?

Krysia i Julka chichoczą. Halinka spuszcza wzrok. Skubie warkocz. Jest wyraźnie zdenerwowana.

HALINKA

Co to jest?

Krysia i Julka znów chichoczą. Trącają się nawzajem łokciami.

KRYSIA

Takie coś dla facetów.

HALINKA

Ale co?

JULKA

(zniecierpliwiona)

Oj taka gumka.

HALINKA

(cicho)

Jaka gumka?

KRYSIA

Głupia jesteś. Gumka dla facetów!

JULKA

Zakładają ją sobie. (Znacząco) Tam? [!]

HALINKA

(zdumiona)

Tam? To znaczy gdzie?

KRYSIA

(zniecierpliwiona)

Przecież Julka już ci powiedziała, że (dobitnie) TAM!

HALINKA

Ale po co?

Krysia i Julka patrzą na siebie zdezorientowane. Widać, że nie znają odpowiedzi na to pytanie. Ciszę przerywa śmiech Stefana, który zeskakuje z drzewa i ucieka w stronę domu.

WNĘTRZE. SKLEP ZALEWSKIEGO.

Za ladą mężczyzna w średnim wieku. W sklepie Halinka. Przez szybę widać stojące przed sklepem Julkę i Krysię. Chichoczą. Sklep typu „ryż, mysz i powidło”. Są w nim artykuły spożywcze, chemiczne i papiernicze. W sklepie jest kilka osób. Halinka staje w kolejce. Przepuszcza ludzi wchodzących do sklepu po niej. Wyraźnie chce zostać sama ze sprzedawcą. Co chwilę patrzy przez szybę na czekające na zewnątrz koleżanki. Julka pokazuje jej ręką na przegub własnej lewej dłoni. Kręci palcem kółko, co ma symbolizować zegarek. Przebiera też dwoma palcami, co symbolizuje biegnący czas. Halinka ma nieszczęśliwą minę.

SPRZEDAWCA

Halinko? Co ci podać?

Halinka spłoszona spuszcza głowę. Ogląda przedmioty w gablotce. Po chwili idzie do drzwi. Cofa się i wraca do lady. Bierze głęboki oddech.

HALINKA

Po ile jest „Olla Gum”?

SPRZEDAWCA

(wyraźnie zaskoczony)

A po co ci ta informacja?

Halinka nerwowo skubie warkoczyk. Patrzy w ziemię.

HALINKA

(szepcze)

Jeden pan mnie prosił, bym spytała.

SPRZEDAWCA

(wyraźnie zdumiony)

Pan? A nie mógł przyjść i sam spytać?

Halinka milczy. Nadal skubie warkoczyk.

HALINKA

(szepciem)

Więc?

PLENER. PRZED SKLEPEM.

Halinka wychodzi ze sklepu. Julka i Krysia podbiegają do niej.

HALINKA

Pięć marek.

Krysia z Julka trącają się łokciami. Chichoczą. Szepczą sobie na ucho.

JULKA

(triumfalnie)

Czyli naprawdę spytałaś.

KRYZIA

(z dumą)

My też byliśmy i pytałyśmy.

JULKA

I to naprawdę tyle kosztuje.

HALINKA

Ale po co to jest?

KRYZIA

Nieważne. Ciesz się, że dostaniesz ciastko. Stawiam.

WNĘTRZE. CUKIERNIA.

Elegancko ubrana kelnerka parzy kawę w ekspresie. Obok przy ladzie sprzedawczyni waży ciastka i pakuje na wynos. W oddali za szklanymi drzwiami stoliki. Przy nich siedzą niemieccy oficerowie i podoficerowie. Na szklanych drzwiach oddzielających kawiarnię od cukierni napis: „Nur für Deutsche”. Halinka, Julka i Krysia stoją w kolejce. Wreszcie stają przed sprzedawczynią, która w tekturowe pudełeczko wkłada trzy kremówki.

Kryścia płaci. Bierze z rąk sprzedawczynie resztę pieniędzy. Wszystkie trzy dziewczynki wychodzą.

WNĘTRZE. SKLEP ZALEWSKIEGO.

W sklepie nie ma klientów. Sprzedawca ustawia towar na regale. Spogląda przez okno. Widzi Kryśkę, Julkę i Halinkę idące ulicą. Julka i Kryścia idą jedząc ciastka. Halinka swoje ciastko niesie w pudełku. Sprzedawca uśmiecha się.

WNĘTRZE DOMU HALINKI. SYPIALNIA. NOC.

Halinka śpi. Na szafce nocnej koło jej łóżka stoi ciastko. Powolutku otwierają się drzwi. Na palcach wchodzi Stefan. Podchodzi do szafki nocnej. Zagląda do pudełka. Na widok ciastka chichocze. Spogląda na śpiącą Halinkę. Chichocze. Na melodię *Sex appeal* Eugeniusza Bodo śpiewa:

STEFAN

Olla-Gum to nasza broń kobieca,
Olla-Gum to coś, co was podnieca...

Podśpiewując zjada ciastko.

Koniec

Małgorzata Karolina Piekarska

Jerzy Seipp

Miniatury optymistyczne

Dla Ani, w odpowiedzi na jej wzruszający tekst na temat „Wieczoru poetyckiego poświęconego pamięci Krzysztofa Planety”

Pamiętam cię jeszcze z dobrych lat, kiedy 18-letnia Kasia po ucieczce z domu ukrywała się przed onnipotentnym ojcem i przez pewien czas mieszkaliśmy u Krzysia na Prałатовskiej. Tam dyskutowaliśmy, piliśmy, przychodziło wielu przyjaciół i znajomych. Wspomniana przeze mnie dwukrotnie podczas wieczoru literackiego „najpiękniejsza dziewczyna w Warszawie” też umarła niedawno, zaledwie miesiąc przed Krzysiem. Zjadł ją rak, umierała w strasznym cierpieniu. Leczyła się, aż przyszedł moment, kiedy zwołała trójkę swoich dzieci i przeprosiła je za to, że nie ma już siły walczyć i chce odejść. Wróciła ze szpitala do domu i w ciągu kilku dni zniknęła.

Opowiadał tu o niej wywołany twoim zdaniem: „z ulgą przyjąłem wiadomość, że niewątpliwie cierpienie Krzysia wreszcie się skończyło”. Poruszyłaś dwa osobne tematy: picia wódki i choroby zaniku mięśni. Najpierw wódka.

Jako doświadczony niepijący alkoholik melduję, że alkoholika nie da się ani namówić do picia („on pije przez was!”), ani namówić do niepicia („proszę, tak bardzo cię proszę, przestań pić!”). Alkoholik pije, bo musi pić. Miałem kawał pięknego życia z wódką, a moje piekło otworzyło się dopiero wtedy, kiedy dzieci zaczęły rosnać, a ja nie potrafiłem przestać pić. Nie mogłem tego pojąć: taki mundry, wszystkie rozumy pozjadał, filozofów cytuje na zawołanie, a pić nie potrafi przestać?! Na szczęście spotkałem na swojej drodze panią doktor Lubę Szawdyn, która poinformowała mnie, że moje picie to zwykła choroba – że przestanę pić, jeżeli będę ją leczył. Reszta jest historią.

Jedyny niepijący w środowisku swoich starych przyjaciół byłem strasznie samotny. Poznałem wielu nowych, ale wiadomo, to nie to samo – nie ma się wspólnych dziejów. Musiałem uważać na spotkaniach z Krzysiem – dla ciebie, Aniu, były to spotkania toksyczne, dla mnie niebezpieczne. Bo chciałem, żeby wróciło to, co kiedyś – żeby picie wódki z przyjaciółmi było znowu radością.

Aż nadszedł czas, kiedy Krzysio zaczął przewracać się i łamać – przestał wychodzić z domu, a nie przestał pić. Czasami wpadałem do niego koło południa, licząc na rozmowę na trzeźwo, sam na sam. Próbowalem namawiać go wtedy do zaprzestania zgubnego nałogu, leczenia złamań i ponownych spacerów po Warszawie. Oferowałem pomoc, ale Krzysio dość lekceważąco odnosił się do moich pomysłów. Wreszcie za którymś razem powiedział mi o swojej chorobie zaniku mięśni, skąd ta łatwość złamań. I że niedługo z tego powodu umrze. Nikt nie może mu pomóc, dlatego nie ma zamiaru przeciągać tego trzeźwością.

Przyznaję się tutaj bez bicia, że jako nieaktywny alkoholik słuchający aktywnego alkoholika, z którym piłem już 40 lat wcześniej, potraktowałem to jak prawdę literacką, jak życzenie: „Idź już, bo chcę się napić”. Próbowalem jeszcze tłumaczyć, że wódka, choroba i niewychodzenie z domu to będzie straszna degrengolada, ale Krzysio już tylko wzruszył ramionami, w ten swój beztroski, intelektualnie uwodzicielski sposób. Uśmiechnąłem się też i poszedłem sobie. Pamiętam jak na pytanie: co tam u Krzysia, odpowiedziałem wtedy: pije i będzie pił. Informację o chorobie zaniku mięśni wrzuciłem tam, gdzie trzymałem informacje innych pijących przyjaciół – o złej żonie czy synu kryminaliście.

Użyłaś, Aniu, słowa Szeol. Dzięki, bo tęsknię za swoją utraconą erudycją. Jako że Szeol ma wiele znaczeń, do tych, które wymieniłaś, dodałbym przede wszystkim brak radości istnienia. Schorowany jak Krzysio, Hunter S. Thompson, zanim strzelił sobie w łeb, napisał: „Zero zabawy. Zero uniesień. Zero spacerów. Zero radości. Wieczne zrządzenie”. Krzysio nie zrządził i pewnie dlatego nie musiał strzelać sobie w łeb. Wystarczyła mu wódka.

Moje dzieci odrzuciły mnie pijącego, przygarnęły z powrotem dopiero po moim umocowaniu się w trzeźwości. Kiedy czasami wołam: „Mam was dosyć! Dajcie mi się wreszcie napić wódki!”, odpowiadają: „Jak dostaniesz raka. Kiedy lekarze potwierdzą, że umierasz na raka, będziesz mógł znowu chlać”. Szkoda, że nie będę mógł wtedy pojechać do Krzysia, zawołać z radością: „ja też jestem śmiertelnie chory!” i postawić na stole 0,7.

Humoreska o takim jednym, który zamiast umyć ręce, dalej stukał w telefon

Jeszcze tydzień temu do głowy by mi nie przyszło, że będę pisała na temat występu polskiej wokalistki na festiwalu Eurowizji. Ale zaraz zobaczycie, Drodzy Czytelnicy, z jaką łatwością ten wątek wpisuje się w różne inne europejskie głosowania z udziałem reprezentantów Polski, np. to, po którym Beata Szydło w świetle jupiterów przed całym światem głosiła: „moje zwycięstwo 1 do 27 jest dla mnie ogromną satysfakcją”.

Fala hejtu, która spłynęła na Lunę, naszą eurowizyjną reprezentantkę, złośliwości na temat samego wyglądu śpiewaczki i pseudopedagogiczne bzdury dotyczące proponowanej przez Artystkę sztuki – wszystko to przypomniało mi moje szkolne czasy, kiedy to muzyka rockowa zaważadnęła naszymi sercami nastolatków, a jednocześnie odsłoniła nie do końca pofałdowane mózgi niektórych nauczycieli. Mieszali z błotem teksty Loebła do bluesów Nalepy, chcieli zabraniać Niemenowi śpiewania wierszy Norwida i wręcz prześcigali się w obrażaniu Bogdana Chorążuka za jego „Zegarmistrza światła”.

Na wszelki wypadek od razu tutaj oświadczam: Pani Luno, obejrzałem Pani eurowizyjny występ. I muzycznie, i literacko jest to bardzo spójna, znakomita szuka, opowiedziana w dodatku brawurową choreografią. Jest Pani prawdziwą Artystką przez duże A.

A teraz pobawmy się trochę. Zacznijmy od pewnego posła na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, który zobaczywszy Lunę na ekranie, kazał wołać wiedźmina. Jak wiemy, wiedźmin żył z zabijania potworów. Nie chcę zagłębiać się tutaj w umysł tego posła na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, za to poprosiłem o komentarz do jego wystąpienia wielkiego radzieckiego uczonego Wsiewołoda Dumbadze, autora wiekopomnego dzieła pt. *Seks a polityka*.

– To jest kliniczny obraz nowych czasów, które opisuję w swojej najnowszej pracy pt. *Masturbacja a polityka*. Masturbacja jest przymusem biologicznym i nikt przed nią nie ucieknie. Ale jeszcze do niedawna była koniecznością wstydliwą. Czyli taki poseł na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej szedł do łazienki zwalić konia z kolorową gazetą pełną zdjęć roznegliżowanych kobiet, a po wyjściu udawał, że czytał artykuł na temat nierówności społecznych w Zimbabwe. Dzisiaj ten sam poseł na Sejm Rzeczypospolitej

Polskiej wali konia do zdjęć w telefonie, ale już się tego nie wstydzi, tylko pisze o tym w tzw. mediach społecznościowych, ogłaszając całemu światu: zwałem konia!

Bo tak należy rozumieć te wszystkie nie dające się wyjaśnić gwałtowne, namiętne wpisy różnych polityków na tiktokach, fejsbukach czy innych X-ach. One aż krzyczą: walę konia! Omawiany poseł na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej uczynił to do filmu z występu wspomnianej Artystki i jest tutaj znakomitym przykładem.

Tyle profesor Wsiewołod Dumbadze. A my przyjrzymy się jeszcze opinii innej krytyczki występu Luny.

– ABC techniki wokalnej (czyli jakby nauka chodzenia) to dobra emisja na wszystkich dźwiękach i dobra intonacja. Trochę zabrakło i emisji (dolne dźwięki) i intonacji (skrajne dźwięki) i podczas ruchu czuć było zmęczenie i odpuszczanie. Najpierw warto nauczyć się dobrze chodzić, a dopiero potem wziąć udział w maratonie.

Uważam, że jest to ocena zbyt pobieżna. Dlaczego nie pisze Pani nic o kątach pochylenia podczas tańca, które muszą równać się wysokości podzielonej przez rozpiętość? Przecież wystarczy wziąć suwak logarytmiczny i z łatwością można obliczyć, że coś z tymi kątami w tańcu nie wyszło, a jeden z tancerzy na pewno nie pomnożył tangensa kąta przez 100 – co widać było gołym okiem. Jako nauczycielka śpiewu chyba umie Pani posługiwać się suwakiem logarytmicznym?

Drugą sprawą, na którą Pani niedbale machnęła ręką, jest siła tarcia podczas występu. W tarciu ślizgowym (suwnym) współczynnik tarcia jest równy stosunkowi siły tarcia, a dla tarcia tocznego współczynnik jest równy stosunkowi momentu tarcia – to są proste wzory, o których każda wokalistka powinna wiedzieć, zanim odważy się wyjść na scenę. Powinna jej to Pani jednoznacznie wyliczyć.

Tak to, Drodzy Czytelnicy, znowu zostałem rycerzem broniącym czci niewieściej. Najbardziej sensowną opinię na temat braku polskiego sukcesu na europejskich salonach wydał ekspert od muzyki popularnej Marek Sierocki: „Nie mamy, niestety, jak wiele innych krajów, państw 'zaprzyżnionych', które będą nas zawsze wspierać w głosowaniach. Innym często pomagają takie sojusze. Nie ukrywam, jestem z tego powodu bardzo smutny. Tym bardziej, że to był świetny, naprawdę udany występ. Sama Luna wypadła bardzo dobrze. Wrażenie robiła też choreografia”.

A my myślimy, że chamstwo, którym PiS izolowało Polskę w Europie przez te wszystkie lata, dotyczyło tylko polityki...

Historie zapomniane

Wracam do pisarzy, których książki czytałem wielokrotnie i którzy pomagają mi przeżyć te bezśnieżne, ciemne miesiące. Dzisiaj chcę zdradzić Państwu tajemnicę, którą poznałem 46 lat temu, podczas czytania powieści Sergiusza Piaseckiego pt. *Człowiek przemieniony w wilka*. Zacznę fragmentem powieści – scena dzieje się w podwileńskim majątku, w czasie II wojny światowej.

„Patrzył w ciemność, gdzie, wiedział, w odległości kilku kroków od niego była jej twarz. Starał się tam cokolwiek dostrzec, ale noc była tak samo czarna w izbie, jak i na dworze.

– Chcę panu opowiedzieć... Bo mnie bardzo ciężko, strasznie ciężko... I proszę mnie wysłuchać... Milczałam przez wiele lat. A jakże trudno milczeć, kiedy się chce krzyczeć!... Takie milczenie dusi. Jest pętlą zaciągniętą na gardle. Wkrótce nadejdą długie noce, czarne noce. Pozostanę ze swoimi myślami, snami, majakami, koszmarami i rozpaczą. A gdy się pan o tym dowie, będzie gdzieś człowiek, który mnie wysłuchał, zrozumiał, potępił albo usprawiedliwił. Jest to moje pragnienie, żeby chociaż jedna dusza na świecie zrozumiała moją...

Pewnego dnia do majątku przyjechało w gościnę dwóch młodych intelektualistów. Jeden z nich, którego Helena nazwała Narcyzem, zaczął ubiegać się o względy dziewczyny. Otoczył ją aurą uwielbienia, pisał dla niej wiersze, czułe listy. Zapewniał ją o swej miłości «do śmierci». Osiągnął to, że stała się jego kochanką... w jej pojęciu, zgodnie z jego zapewnieniami, żoną.

Po jakimś czasie Helena zaszła w ciążę. Narcyz był wtedy w Wilnie. Zawiadomiła go. Poprosiła, żeby dotrzymał słowa i jak najprędzej ją poślubił. Narcyz nie odpowiedział na kilka listów. A gdy zażądała spotkania i wyznaczyła jego termin, wyjechał do Warszawy. Helena udała się do Wilna i zdobyła jego adres warszawski. Pojechała tam. Z trudem zdołała uzyskać spotkanie z nim na dworcu kolejowym. Błagała go, żeby jej pomógł wywikłać się z tragicznej sytuacji. Narcyz jej to przyrzekł i zapewnił o swej miłości. Gdy zaś Helena powróciła do Wilna, przysłał okrutny list, w którym napisał, że nie zamierza marnować sobie przyszłości związkami z nią; że nie wie, kto jest sprawcą jej ciąży, bo ona w Wilnie flirtowała nawet z jego kolegami. Dodał, że wyjeżdża na długo za granicę.

Helena wpadła w rozpacz. Myślała nawet o samobójstwie. Wreszcie, z pomocą swej starszej koleżanki, znalazła akuszerkę, która dokonała zabiegu spędzenia płodu. Tegoż dnia Helena w domu dostała gorączki i ciężko zachorowała. Zabrano ją do kliniki. Życie Heleny ocalono, ale w rodzinie traktowano ją jak zbrodniarkę. Jednak była potrzebna do pracy w majątku. Dano jej najcięższe obowiązki. Gdy zaś bolszewicy rozpoczęli masowe wywożenie ludzi, wszyscy się ukryli, lecz Helenę pozostawiono w folwarku, by go pilnowała...

– Zimą zeszłego roku, gdy mieszkałam tutaj sama, obudziłam się w nocy od płaczu dziecka. Zapaliłam światło. W izbie nikogo nie było. Ale poczułam i strach, i ból. To się powtórzyło kilka razy. Wówczas zaczęłam myśleć o dziecku, które straciłam, a właściwie zabiłam. Na mnie ciąży jego krew, bo nie dałam mu zobaczyć świata, słońca... A teraz... pustka i myśli, myśli, myśli... Czy pan mnie słuchał?

– Tak. Bardzo uważnie.

– Dziękuję. Zaraz pójdę. Czy pan chce mi coś powiedzieć?

– Mogę powiedzieć pani szczerze i prosto: ego te absolvo! To nie pani zamordowała swe dziecko, to on właśnie zamordował dwie dusze: swoje dziecko i swoją żonę. Zamordował was świadomie, podle, podstępnie, tchórzliwie! Takiemu łotrowi chyba i Chrystus by nie wybaczył, bo zginąłby nawet cień sprawiedliwości na ziemi!...”

Koniec cytatu. Uwielbiam, jak bohaterowie Sergiusza Piaseckiego nie biorą jeńców: „nawet Chrystus mu nie wybaczy”. Z nimi lepiej nie zadzierać.

Czytałem tę powieść po raz pierwszy pod koniec lat siedemdziesiątych w Londynie, kiedy to kręciłem się przez chwilę przy środowisku „Wiadomości” i „Dziennika Polskiego”, dopóki nie usłyszałem: taki przystojny Polak z pana, ale ostrzygłby się pan ładnie, po męsku, a nie chodził z takimi babskimi kłakami. Tam też dowiedziałem się, że Narcyz to Czesław Miłosz. Wtedy jeszcze nikt nie przewidywał upadku socjalizmu w Polsce, że za jedenaście lat Miłosza będą w Warszawie witały tłumy i ukoronują go Nagrodą Nobla. Daj mu Boże zdrowie. Dla mnie już na zawsze pozostał Narcyzem z powieści umiłowanego przeze mnie pisarza.

Pierwowzorem Heleny była śliczna Jadwiga Waszkiewicz, którą Sergiusz Piasecki poślubił niedługo po ich spotkaniu. Wprawdzie po wojnie rozdzieliła ich „czerwona pleśń, która ogarnęła Polskę i pół Europy” (kocham go!), ale Jadwiga zdążyła urodzić im syna, dziś znanego naukowca

fizyka. Wnuczka Jadwigi i Sergiusza nawet sprawdza, czy nie odziedziczyła po dziadku talentu pisarskiego.

A Miłozowi Piasecki nie darował – ha, ha, ha. Przeczytajcie jego artykuł *Były poputczik Miłoz*, który równie nieprzejednany dla czerwonych literatów Mieczysław Grydzewski opublikował w swoich londyńskich „Wiadomościach”, w 1951 roku. Kilka zdań muszę tu zacytować:

„Uważam, że Miłoz nadal jest niebezpieczny dla sprawy polskiej i sprawy wolnego świata, walczącego z bolszewizmem (...) Pycha nie da mu nigdy uznać szczerze, że służył dla różnych powodów... może i ze strachu też – takiego, jaki ma francuski piesek przed dużym, śmierzącym brytanem. Aby przedstawić siebie w pięknym świetle, Miłoz będzie wybielał to, czemu służył (...)

Słyszałem, że Tuwim występuje z historycznymi wierszami na cześć Stalina, Armii Czerwonej, obecnej Rosji. W galerii naszych poetów Tuwim będzie miał wielki portret, u którego stóp przytuli się maleńki portrecik Miłoz. Ale w galerii *poputczików* Miłoz będzie miał wielki portret, Tuwim zaś spocznie u jego stóp, nie dorastając mu do pięt”.

Co to się działo! Co się działo! Pół paryskiej „Kultury” się z wściekłości aż skręcało...

Jerzy Seipp wyrzucony do fryzjera
ze spotkania
w redakcji „Dziennika Polskiego”
i „Dziennika Żołnierza”
— Londyn 1978.



Z przekładów Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej

Ivan Schneedorfer

Z cyklu „Kanadyjskie popołudnie”

Tysiąc mil i pociąg
powolny jak żółw.
Dokąd sięgnąć okiem,
trawa prerii.
A niebo jak plakat
bez reklamowych napisów...
Tysiąc mil i pociąg
powolny jak żółw.
Ale jest mi przyjemnie
i kołysze się ze mną świat.
Na przekór upałowi i pragnieniu
tak bym chciał nie dojechać...

Ivan Schneedorfer (ur.1937 w Czeskich Budziejowicach zm. 2021 w Delta, Kanada). Poeta i tłumacz czeski. Z wykształcenia technik budowlany. Mieszkał w Pradze do 1968. Po sierpniu 1968 wyemigrował do Kanady, gdzie mieszka na półwyspie Tsawwassen w Kolumbii Brytyjskiej. Większość jego książek ukazała się w wydawnictwach emigracyjnych i w samizdacie. (*Básně z poloostrova / Wiersze z półwyspu*. Wydawnictwo Poezie mimo Domov, Monachium 1987). W Czechach ponownie publikowany po 1989 roku.

Anastáz Opasek OSB (1913-1999)

Adwent

Ta ciemność,
ta ciemność wielu stuleci
nawet jeszcze starsza,
tak stara jak sama ludzkość,
bez jasnej świetlistej smugi
nadziei, radości,
otacza mnie,
jest nocą nocy,
zaklęty krąg
zakreślony wokół ludzkości,
otacza mnie
nic, nic i nic
tylko prorocy, tylko prorocy,
świtanie teraz przeczuwam
Maryi Dziewicy,
to już wystarczy, to wystarczy
do nocy Bożego Narodzenia.

Boże Narodzenie

Coś kryje się w powietrzu, coś kryje się w Twoim sercu,
święta Bożego Narodzenia przekroczyły horyzont kalendarza,
na czystym białym nakrytym stole ukazuje się znak ryby

nie wczoraj, ale dziś i jutro znowu
na zmęczony, lamentujący świat,
na ziemię zanurzoną w ciemności przychodzi Pan

nie da się zmierzyć czasem panującej wszędzie ciszy:
noc cudownego Słowa,
godzina rozwiązania historii świata podniesieniem Bożej ręki

Oto chmury się rozstępują, zapalacie światła, Pan nadchodzi.

Jan Anastáz Opasek OSB (1913 Wiedeń -1999 Rohr) – ksiądz katolicki, arcyopat klasztoru benedyktynów na Brzewnowie; w Pradze, za czasów komunizmu robotnik i więzień polityczny zwany „opatem-chuliganem” (groziła mu kara śmierci, skazany na dożywocie pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Watykanu), emigrant w klasztorze benedyktynów w Rohr (Bawaria), duchowny, pisarz, działacz i duszpasterz opozycji, organizator spotkań intelektualistów i młodzieży. Wiersze przed 1989 rokiem publikował w wydawnictwach emigracyjnych.

*Z języka czeskiego przełożyła i notami o autorach opatrzyła
Katarzyna Boruń-Jagodzińska*

Piotr Müldner-Nieckowski

O polskich przekładach wiersza

The Red Wheelbarrow

William Carlos Williamsa (1883-1963)¹

Na wstępie trzeba poczynić uwagę, że istnieją dwie możliwe i równoprawne wersje polskiego tytułu wiersza Williama Carlosa Williamsa *The Red Wheelbarrow* (1923). W języku polskim słowo określające ‘wózek na jednym kółku z dwoma uchwytyami i wgłębioną platformą, służący do przetaczania przedmiotów’ ma dwie formy: w liczbie pojedynczej, jak i (częściej) mnogiej, używanej w funkcji pojedynczej, a więc inaczej niż wyrazy *drzwi*, *majtki*, *spodnie*, *sanie*. Tytuł ten może brzmieć równie dobrze jako *Czerwona taczka* albo jako *Czerwone taczki*. Ta myląca dwoistość wydaje się mało istotna, ma jednak coś z magii: jako językowa dziwność może zapowiadać nieoczekiwane problemy ze szczególną teorią poetyki, którą głosił William Carlos Williams. Okazuje się to tym wyrazistsze, że wiersz jest bardzo krótki, zawiera dziewięć linijek (w tym tytuł) i dziewiętnaście słów. Jest to właściwie tylko jedno zdanie, zdanko, miniaturka:

The Red Wheelbarrow

*so much depends
upon*

*a red wheel
barrow*

*glazed with rain
water*

*beside the white
chickens*

¹ Artykuł ten w podobnej wersji był prezentowany na konferencji na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie i opublikowany w: *Tłumaczenie poezji – negocjowanie wyobraźni. 1. Poszukiwania*, pod redakcją Anny Marty Szczepan-Wojnar-skiej. Wydawnictwo UKSW, Warszawa 2014, str. 73-92.

Tak, wiersz, jak na to wielu zwraca uwagę, jest bardzo skromny. Niektórzy uważają, że za bardzo. Mimo to odegrał znaczną rolę w historii poezji nie tylko amerykańskiej, ale również światowej, ponieważ w zamiarze autora był manifestem przeciwko dominacji poetyki brytyjskiej. Kiedy ukazał się drukiem w 1923 roku², w środowisku literackim w Stanach Zjednoczonych zwrzało. Dziewięć linijek tekstu, pozornie stanowiącego jedynie fotograficzny wycinek jakiejś mikrozeczywistości, tyle że przekazanej słowami, zbulwersowało czytelników i krytykę. Williams był już wtedy znany jako poeta, publikował wiersze i prozy, angażował się w przedsięwzięcia czasopiśmiennicze³. Znano jego opublikowany sześć lat wcześniej wiersz *Apologia*, utwór, w którym na postawione przez siebie pytanie: „dlaczego dzisiaj piszę”, związłym językiem, metaforycznie brzmiącym, choć metafor w zasadzie pozbawionym, niejednoznacznie, lecz dobitnie demonstrował ideę imagistów, z którymi był związany – przynajmniej duchowo – do czasu ukazania się tomu *Spring and All*, a w nim *Czerwonych taczek*.

Williamsa postrzegano jako twórcę realizującego założenia amerykańsko-brytyjskiego imagizmu (1910–1918)⁴, głoszone głównie przez Thomasa Ernesta Hulme’a oraz przez zwolenników tego prądu artystycznego, nieformalną grupę twórców, do której należeli Ezra Pound, H.D. (Hilda Doolittle), Amy Lowell, Richard Aldington, James Joyce, Frank Stuart Flint, Skipwith Cannell, Ford Madox Ford, Allen Upward, John Cournos i inni, mniej znani, rozproszeni po całym świecie. Podstawą myślenia imagistycznego była rezygnacja z romantycznego i ideologicznego (zwłaszcza wiktoriańskiego) postrzegania świata, było nią także odejście od sentymentalizmu i moralizowania – ku „czystemu” obrazowaniu poetyckiemu, które może lub powinno być źródłem nowych idei. Imagiści za konieczny uważali powrót do klasycznych form poezjowania, do ekonomiczności stylu, bezpośredniości opisu, ale także do poszukiwania nowatorskich językowych form wyrazu⁵.

² Był to tekst umieszczony pod numerem XXII w tomie *Spring and All*, zawierającym wiersze i krótkie utwory prozatorskie, wydanym w Dijon (Francja) w 1923 r. w nakładzie 300 egzemplarzy przez należąca do poety Roberta McAlmona firmę wydawniczą Contact Publishing Co. Książka ta została przez Williamsa także włączona do wielokrotnie później wydawanego pierwszego tomu *The Collected Poems 1909–1939*, który w ostatniej wersji, pod redakcją A. Waltona Litza i Christophera MacGowana, ukazał się w wydawnictwie A New Direction (New York 1986, 1991).

³ M.in. z Robertem McAlmonem, z którym redagował i wydawał w Nowym Jorku pismo literackie „Contact Review”. (William Carlos Williams, *The Autobiography of William Carlos Williams*, New York 1951).

⁴ Wiele mało znanych informacji o imagizmie można znaleźć w pracy: L. Engelking, *Imagizm*, „Literatura na Świecie” 1991, nr 1, s. 190–209.

⁵ M. Davidson, *Ghostlier Demarcations: Modern Poetry and the Material Word*, Los Angeles–London 1997, s. 11–13.

Nie od rzeczy jest wspomnieć za Brianem Bremenem, że Williams uzasadniał swoje lingwistyczne aspiracje obserwacją języka zwyczajnych ludzi, słabo mówiących po angielsku imigrantów, a więc języka, jak się wyraził, *pochodzącego z ust polskich matek*⁶.

Williams, nawet wtedy, kiedy po publikacji *Spring and All* odsunął się od grupy imagistów i poszedł już zupełnie własną drogą, kilkakrotnie w swoich utworach użył imagistowskiego (ale wymyślonego przez siebie) określenia *No ideas but in things*⁷, co John Brinnin tłumaczy następująco:

„Rzeczą poety nie jest opowiadanie ogólników, ale wypowiedanie się szczegółowe, tak jak czyni to lekarz, gdy pracuje nad pacjentem, gdy pochyla się nad rzeczą, która się przed nim znajduje, aby ze szczegółu wydobyć wartość uniwersalną”⁸.

Innymi słowy to, co jest do powiedzenia w poezji, to nie idee zastane (ideologie), ale idea zawarta w rzeczywistości, którą należy przedstawić. Samo doskonalenie obrazowania (tworzenia obrazków poetyckich) poecie jednak nie wystarczało. W okowach imagizmu czuł się zapewne skrzepowany, inaczej nie poszukiwałby nowych, nieraz zdumiewających środków wyrazu. Usiłował docierać do istoty rzeczy w sposób dla innych niedostępny.

Aby można było w pełni zrozumieć te dążenia, konieczne jest przypomnienie najważniejszych danych z biografii Williamsa.

Urodził się w 1883 r. w Rutherford w stanie New Jersey, z którego przez całe życie prawie nigdy nie wyjeżdżał. Mieszkał przy Ridge Road nr 9, blisko skrzyżowania z Park Avenue, dokąd dziś wielu miłośników literatury przyjeżdża w celach sentymentalno-turystycznych. Jego babka była Angielką. Opuszczona przez męża, ponownie wyszła za mąż i wyemigrowała z Anglii do Portoryko wraz z synem, który wzrastał w Republice Dominikany i ożenił się z Portorykanką pochodzenia francusko-baskijsko-holendersko-żydowskiego. Z tego związku urodził się William dla podkreślenia latynoskiego pochodzenia, a także ze względu na popolitość imienia

⁶ Dosłownie: *From the mouths of Polish mothers*. (B.A. Bremen, „Witness the words being born”: *the Miscarriage of Language in Williams's Stecher Trilogy*, w: *Critical Essays on William Carlos Williams*, ed. by S.G. Axelrod, H. Deese, New York 1995, s. 188-198).

⁷ Wyrażenie to po raz pierwszy pojawiło się w wierszu *A Sort of a Song* w tomie *Patterson* (Book I, 1946), a potem było powtarzane w różnych partiach tego zbioru: – *through metaphor to reconcile / the people and the stones. / Compose. (No ideas / but in things) Invent!* (zwraca uwagę to, co wyróżniam w nawiasie kursywą – P.M.N.).

⁸ J.M. Brinnin, *William Carlos Williams, w: Seven Modern American Poets*, ed. by L. Unger, Minneapolis 1967, s. 83-118 (przeł. P.M.N.).

i nazwiska William Williams, w dorosłym życiu po pierwszym imieniu z upodobaniem umieszczał drugie: Carlos. W 1906 r. ukończył Wydział Lekarski Uniwersytetu Pensylwanii, a w 1909 wydał pierwszą książkę poetycką *Poems*. Po studiach rozpoczął w Rutherford praktykę jako lekarz domowy i pediatra, którą prowadził aż do śmierci w 1963 r. W 1912 ożenił się z Florencją Herman (jej starsza siostra odrzuciła oświadczyńny). Byli sobie wierni do końca. Imię żony nie pozostało bez wpływu na język poety (por. zamieszczony dalej opis wiersza *Apologia*). Medycyna pozostawała jego pierwszym i głównym zawodem, dawała mu środki utrzymania, ale także stała się podstawą jego sposobu myślenia, patrzenia na świat i ludzi. Krytycy i historycy literatury, a także lekarze humaniści dostrzegają ścisły związek medycyny i poezji u Williamsa. Wydał kilkadziesiąt książek poetyckich i prozatorskich. Pisał eseje, zajmował się krytyką literacką. W okresie powojennym był uważany – obok Ezry Pounda i Roberta Frosta – za jednego z najwybitniejszych poetów Ameryki. Liczono się z nim, z jego zdaniem jak z nikim przedtem, był powszechnie znanym mentorem i przyjacielem wielkich poetów i pisarzy, do których należeli między innymi Ezra Pound, Ernest Hemingway, Allen Ginsberg. Otrzymał nagrodę Pullitzera w dziedzinie poezji. Pisano o nim⁹:

„Lekarz i zarazem człowiek literatury, podobnie jak Rabelais czy doktor Oliver Wendell Holmes, w charakterystyczny sposób reprezentował szczególny rodzaj wiedzy o człowieku, zachowywał diagnostyczną rezerwę wobec słabości i siły humanistyki, zawsze z zachowaniem odpowiedniej dozy humoru, co pozwalało mu nigdy nie przekraczać granic zdrowego rozsądku. Taka jest sylwetka doktora Williama Carlosa Williamsa. W poszukiwaniu piękna i prawdy w zwyczajnej i niezwykłej brzydocie posługiwał się właściwym poznaniu naukowemu, wnikliwym klinicznym realizmem. Jego kolega po piórze, Wallace Stevens (*notabene* prawnik – przyp. P.M.N.) pewnego razu nazwał twórczość przyjaciela «antypoetycką»: Doktor Williams pisze o «śliwkach, które były w lodówce»; o «czerwonych taczkach ... znajdujących się obok białych kurcząt»; o zielsku w kwaśnej ziemi przy «szpitalu zakaźnym». Podobnie jak Stevens był poetą idei, choć w przeciwieństwie do niego z założenia „nie uprawiał metafizyki w celu dokonywania rewolucji w umyśle”¹⁰

⁹ William Carlos Williams (1883–1963), w: *The American Tradition in Literature*, ed. by S. Bradley, R. C. Beatty, E. H. Long, New York 1967, s. 1747–1748. Przeł. P.M.N.

¹⁰ Opinię zawartą w tym tekście należy rozumieć następująco: typowa konstrukcja narracyjna w rodzaju „Hrabina pomyślała, że w tym towarzystwie czuje się źle” jest fałszywa, ponieważ w rzeczywistości nikt nie wie, co hrabina mogła myśleć, autor tekstu także. W takim ujęciu techniki literackiej myślenie bohaterów powinno występować jedynie potencjalnie, jako ostrożne przypuszczenie (P.M.N.).

Do opinii tych można też dodać uwagę o wpływie medycyny na osobowość jej adeptów, takich jak właśnie Williams. Pisałem o tym wielokrotnie przy różnych okazjach, ale chyba najbardziej zwięzła charakterystyka jest zawarta w takim oto fragmencie: „Medycyna uczy obserwacji, ostrego spojrzenia na rzeczywistość, sprawnego definiowania, łączenia filozofii i psychologii z naukami przyrodniczymi, a także dyscypliny w myśleniu i wypowiedzaniu się”¹¹. Prawdopodobnie to wychowanie lekarskie powoduje, że tak wielu pisarzy, którzy studiowali medycynę, dostrzega ukrytą przed oczami mniej wnikliwych niezwykłość, a często wręcz groteskowość (niekoniecznie komizm) rzeczywistości i zachowań ludzkich (por. twórczość choćby Jamesa Joyce’a, André Bretona, François Rabelais’go, Stanisława Lema albo Louisa-Ferdinanda Céline’a), większą wagę przywiązuje do opisu behawioralnego jako wyrazu psychologii niż do produkowania myślenia i jego analiz, wreszcie neguje wiarygodność narracji, która – jak u licznych prozaików, ale i poetów także – na zasadzie nibyboskiej wszechwiedzy miałyby sięgać w głąb umysłu bohaterów.

Nie bez znaczenia było także mieszane pochodzenie Williama i kontakt z co najmniej trzema kulturami w rodzinie. Jak pisze Peter Ramos, „można zadawać sobie pytanie, czy twórczość Williama jest amerykańska, amerykańsko-hispańska, czy Boricua (synonim Portoryka, od *Boriken*, oryginalnej nazwy wyspy). Williams nie bez powodu posługiwał się drugim imieniem właśnie «Carlos» (...) Również nie bez powodu u Williama pojawiają się wersy hiszpańskojęzyczne”¹².

Nie czuł się bynajmniej kosmopolitą, uważał się za Amerykanina ze wszystkimi atrybutami amerykańskości, ale – jeśli można tak powiedzieć – wielonarodowego. Między innymi stąd brał się – jak zobaczymy w wierszu *Apologia* – jego sprzeciw wobec segregacji społeczeństwa (etnicznej, rasowej, ekonomicznej, edukacyjnej) lub wobec historycznych zależności kultury amerykańskiej od dziedzictwa krajów europejskich, zwłaszcza Anglii (od której dorobku artystycznego Williams starał się oddzielać dorobek amerykański, mimo że jego ojciec był Anglikiem). Tak się wyrażał jego nowoangielski patriotyzm, ale była to postawa szczególna, oparta na logicznie uzasadnionej tolerancji świata i ludzi, jak w medycynie.

To wszystko jest widoczne jak na dłoni w całej obszernej twórczości Williama. Jednocześnie poeta ten zawsze znajdował się w stanie pogotowia

¹¹ P. Müldner-Nieckowski, hasło *Lekarz pisarz*, <http://poradnia.pwn.pl> [dostęp 06.11.2014].
¹² P. Ramos, *Cultural Identity, Translation, and William Carlos Williams*, „Multi-Ethnic Literature of the United States” (MELUS), 2013, 38(2), s. 89-110, 10.1093/melus/mlt005. Przeł. P.M.N.

twórczego, nieustannie próbował za pomocą słowa reagować na rzeczywistość, badał ją, penetrował. Wiedział – nauczyła go tego praktyka lekarska – że rzeczywistość ogólna jest reprezentowana przez rzeczywistość szczególną. Zdawał sobie sprawę z tego, że takie nastawienie to praca syzyfowa, a mimo to z najmniejszego nawet dokonania poetyckiego (to znaczy w sensie naukowym – z czystej empirii) starał się wyciągać wnioski. Co więcej, starał się te wnioski bez zwłoki przekazywać już w owych dokonaniach, w pisanych wierszach, nawet jeśli motywacje do pisania i konkluzje miały pozostać autorską tajemnicą. Pisał w taki sposób, aby mimo maksymalnej zwięzłości utwory były pod każdym względem kompletne. W procesie tym brało udział nie tylko słownictwo z gramatyką, metaforą, elipsą (ważny środek poetycki Williama). Działała tu obficie kompozycja wierszy, swoista, przemyślana przerzutnia, stosowana przez niego już w drugiej dekadzie XX w., interpunkcja z przerywnikami (istotne myślники lub puste wersy, kropki oznaczające kres danej myśli), jak również melodia, brzmienie oparte na specyficznym układzie sylab. Williams, mówiąc o układzie wiersza, przy różnych okazjach (nawet w treści wierszy) wspominał o potoczności, która w jego wykonaniu była środkiem do „zamerykanizowania” poezji amerykańskiej, odrzucenia „poetyckiej brytyjskości”. Z podobnymi faktami poetycznymi mamy do czynienia również w wypadku wiersza *Czerwone taczki*. Najpierw jednak przyjrzyjmy się jeszcze wspomnianemu wierszowi *Apologia*:

Apologia¹³

Czemż dzisiaj piszę?

*Piękno
strasznych twarzy
naszych miernot
zmusza bym się ruszył:*

*ciemnoskóre kobiety
pracownice dnia –
stare i doświadczone –
wracające do domu w mrok
rozebrane z sukien
twarzy jak*

¹³ Przeł. P.M.N. Warto uświadomić sobie z całą mocą, że słowo *apologia* w pierwszym rzędzie znaczy ‘obrona’, ale i zarazem ‘pochwała’.

*florencki stary dąb*¹⁴.

Również

*ustalone rysy
waszych oblicz każą mi –
ważniejsi obywatele –
ale nie
tak samo*

W wierszu tym, pisanym w 1917 r., pozornie klasycznie imagistowskim, można dostrzec ten rys poetyckiej mentalności, który w przyszłości systematycznie coraz bardziej będzie odsuwał poetę od czystego imagizmu i wyprowadzał go w ogóle z modernizmu w nowe rejony. Będzie to (w ostatniej fazie życia) takie obrazowanie, które odwróci styl poetyki Williamsa: to nowa idea stanie się teraz obrazem, a dawny dominujący obraz rzeczywistości będzie powstawał w wyobraźni jako metaforyczna podpora myśli, przy mylącym nieuważnego czytelnika zachowaniu stylu, układu, brzmień i konstrukcji utworów, jak w wierszu wprowadzającym do tomu *Paterson V*:

*Na starość
rozum
buntowniczo
spuszcza
orła
ze swego urwiska*¹⁵

W *Apologii* z jednej strony zawarty jest pewien rys publicystyczny, protest przeciwko dzieleniu ludzi na „białych” i „kolorowych”¹⁶, lepszych i gorszych. Z drugiej strony z wyraźnie laudacyjnej frazy „piękno strasznych¹⁷ twarzy naszych miernot” dzięki reinterpretacji pojęcia „piękno” i zastosowaniu paradoksu wydobywa się ironia pogłębiona przez następny paradoks – zestawienie ważności „lepszych” obywateli z obywatelami

¹⁴ W oryginale *old Florentine oak*. Jedna ze swoistych metafor używanych przez poetę, tu oznaczająca nieamerykański obiekt (pień florenckiego dębu) o spękanej, pomarszczonej powierzchni (korze), znamionującej skutki wysiłku, zmęczenie ciężką pracą i walką; zawiera cechy odpowiadające sylwetkom imigrantów, na których barkach dźwiga się Ameryka.

¹⁵ Przeł. P.M.N.

¹⁶ Słowo *kolorowy* jako określenie osób jeszcze wtedy nie miało aż tak silnie obraźliwego nacechowania jak w połowie XX w. i czasach następnych.

¹⁷ Ironicznie, z naciskiem i pewną lubością użył autor wyrazu *straszny* w odniesieniu do ludzi zasługujących na zgoła przeciwne miano.

(obywatelkami?) „niższej kategorii”. Wiersz ma cechy diagnozy, ocenia przedstawianą rzeczywistość, dociera do istoty amerykańskiej sytuacji społecznej, niemal punktowo ją nazywa. Obrazowanie wydaje się tu mieć funkcję podrzędną. Można zaryzykować tezę, że dwa obrazy („twarze” dwóch różnych grup ludzi) zawarte w *Apologii* są służebne wobec idei, która jest twórczym kontekstem, ideowym otoczeniem wiersza. To z pewnością nie jest klasyczna realizacja imagistowska. Rzecz jednak w tym, że autor wyrażonej idei nie nazywa. Nie musi tego czynić, ponieważ wypowiedają ją właśnie odpowiednio zestawione obrazy.

Kiedy w 1972 r. w „serii celofanowej” Państwowego Instytutu Wydawniczego ukazał się tomik Williama Carlosa Williama w przekładzie Leszka Elektorowicza, w młodym polskim środowisku poetyckim dominował kult Tymoteusza Karpowicza i Mirona Białoszewskiego, poetów, jak ich nazywał Janusz Sławiński¹⁸, lingwistycznych. Były to także lata ożywionej działalności twórców Nowej Fali. Prawie nikt nie zwrócił uwagi na wiersz Williama, który u Elektorowicza miał postać:

Czerwone taczki¹⁹

*Jak wiele zależy
od*

*czerwonych
taczek*

*z glazurą deszczu
która spływa po nich*

*obok białych
kurcząt*

Kto miał dostęp do oryginału angielskiego, ten od razu zauważył, że przekład nie jest dokładny, nie jest wierny. Co ciekawe, nie robił wrażenia, a to być może właśnie z powodu braku precyzji translatorskiej. Brakowało mu kongenialności²⁰, to znaczy tłumaczenie nie oddawało tego, o co cho-

¹⁸ J. Sławiński, *Próba porządkowania doświadczeń*, w: idem, *Prace wybrane*, t. 5. *Przypadki poezji*, red. W. Bolecki, Kraków 2001, s. 289-305 (pierwotny druk: „Odra” 1964, nr 10, s. 33-40).

¹⁹ Przeł. L. Elektorowicz, w: William Carlos Williams, *Poezje*, Warszawa 1972.

²⁰ Łacińskie *congenialis* (z duchowym) w translatorce tkwi po polsku jako *kongenialny*, stąd też: *kongenialność*... 'pod każdym względem duchowa równość z oryginałem'.

dziło autorowi. Zwracała uwagę już pierwsza linijka. W oryginale brzmiała „so much depends”, a u Elektorowicza „jak wiele zależy”. Przekład był dosłowny. U Williamsa jest twierdzenie „tak”, natomiast u tłumacza wahlliwe pytanie „jak”, narzucające się na zasadzie presupozycji. Dalsze analizowanie tekstu wydawało się zbędne, a wiersz został zapamiętany tylko przez nielicznych, tym bardziej że informacje o autorze były skąpe i niemal nikt się nim nie zajmował. Jednak w pamięci piszącego te słowa (lekarza), pozostał fakt, że poeta był z wykształcenia i zawodu właśnie lekarzem. Dlatego gdy w 1985 r. w miesięczniku „Literatura na Świecie” wiersz pojawił się ponownie, tym razem w przekładzie Leszka Engelkinga, o którym wiadano, że jako tłumacz interesuje się poetami imagizmu, zainteresowanie nagle wzrosło. Jakże inna to była wersja:

Czerwone taczki²¹

*tak wiele zależy
od*

*pokrytych szklivem
deszczu*

*czerwonych ta-
czek*

*tam koło tych białych
kurcząt*

Tłumacz starał się oddać nie tylko sens tego (niemal) fotograficznego obrazka, ale również maksymalnie dostosować formę do melodii pierwotnego. Stąd w 5. wierszu pojawia się podział wyrazu na „ta – czek”. Trzeba zauważyć, że niezbyt naturalny. Występuje też wyraz „tam” („...koło tych taczek”), który zniekształca wizję. Rzecz zrozumiała, Engelkingowi brakowało sylaby, więc ją wstawił. Ale czy całkiem fortunnie? Wyraz „tam” wprowadza akcent znaczeniowy, nie tylko fonologiczny. To, co jest w wierszu, dzieje się gdzieś, co przecież już jest wiadome. Taczki są *tam*, a *te* kurczęta też są *tam* i nie trzeba było tego dookreślać, tak jak dodawać zaimka.

Zaburzona została semantyczna ekonomiczność wiersza.

²¹ Przeł. L. Engelking, „Literatura na Świecie” 1985, nr 1(162), s. 142.

Tak, ale poeta, pisząc wiersz (o czym Engelking wiedział doskonale, bo sam był znakomitym poetą) na określony temat, kiedy napotyka trudność, szuka wyjścia w zupełnie innych, nawet odległych rejestrach, obszarach semantycznych i leksykalnych; może przy tym dość dowolnie dobierać materiał z ogromnego zasobu pojęciowego i językowego, którym dysponuje. I najczęściej szybko osiąga zamierzony efekt. Tłumacz jest natomiast postawiony pod ścianą. W jego wypadku twórcza dowolność jest mocno iluzoryczna²². Boczne drzwi do rozwiązań alternatywnych już dla przekładu wstępnego są znacznie węższe, czasem w ogóle się nie otwierają. Zdarzają się przecież nawet wiersze nieprzekładalne.²³

Nieraz musi minąć sporo czasu, zanim tłumacz znajdzie właściwą drogę. Pisał o tym obszernie Józef Waczków w tomie *O sztuce przekładu*. Oto jedna z jego trafnych uwag:

„Twórczość translatorska, której wynikiem bywa przekład artystyczny (jak go dziś rozumiemy), wymaga szczególnych dyspozycji i – zwłaszcza w poezji – szczęśliwych trafów, chwil olśnienia, transu czy tym podobnych. Rzecz jasna tak bywa w każdej dziedzinie twórczości, a tłumacz tym różni się od innych twórców, iż jego dzieło można ex post porównać z obcojęzycznym pierwowzorem. Oryginał jest racjonalnym miernikiem dla krytyków. Nie zawsze bywa jedynym miernikiem dla tłumacza, w swoisty sposób, psychologicznie rzecz biorąc, zmuszonego do rywalizacji z inspirującym go tekstem [...] I chyba jedynie w prozie staje się to wyłącznie rywalizacja językowa. W poezji, podświadomie, choćby z uwagi na nieuniknione przecież *licentiae poeticae*, staramy się prześcignąć, gdzie tylko można, pierwowzór. I nieraz odnosimy później wrażenie, że udało nam się stworzyć w polszczyźnie utwór lepszy”.²⁴

²² Dowolność rozumiem tu nie jako formę arbitralności, ale jako nieokiełznany żywioł, ‘wolność bez żadnych ograniczeń’, choćby prawnych, obyczajowych czy – w wypadku poezji – ideowych, stylowych, stylistycznych, leksykalnych itd.

²³ Kiedy powiedziałem o tych uwagach Leszkowi Engelkingowi, jedynie się ciepło uśmiechnął. Po kilku dniach zatelefonował, żeby powiedzieć, że Williams Carlos Williams nie jest przekładalny jak każdy inny poeta. Najwięcej problemów mają z nim przekładcy na języki z rozbudowaną odmianą, rusycyści, bohemiści i właśnie poloniści. Opiera się tłumaczowi jak na przykład Ryszard Milczewski-Bruno, kiedy próbują go przenieść z osobliwej polszczyzny do języka angielskiego lub hiszpańskiego, jak to z wielkim trudem czynili Edward Stachura czy (bez powodzenia) Allen Ginsberg. Przekładcy poezji powinni więc być nie tylko świetnymi poetami (jak Engelking), ale i mieć dużo szczęścia.

²⁴ Józef Waczków, *O sztuce przekładu*, Podkowa Leśna 1998.

Tak na ten temat pisała Anna Kamieńska:

„Doświadczony tłumacz poezji wie, że trzeba odejść od oryginału, aby się do niego zbliżyć. Potrzebny jest ów dystans właśnie po to, aby przekład nie był powtórką, ale samoistnym i samodzielным utworem poetyckim, powstałym z ducha przekładu. Pokrewieństwo musi być duchowe, aby było prawdziwe. Jest to prawda bardzo ogólna [...] Dlatego właśnie dobre przekłady nazywamy kongenialnymi. Tutaj w zapasach dwóch potęg następuje jakieś zrównanie sił. I jest to niezależne od wszelkich zewnętrznych podobieństw przekładu i oryginału”.²⁵

Tak, ale co zrobić, kiedy wiersz wydaje się niezwykle prosty, a jednak kryje antytezę prostoty? Znając w ogólnym zarysie postawę artystyczną Williamsa, wiemy, że jego proces twórczy kryje zagadki ogromnych komplikacji, a utwory są skutkiem potężnego i precyzyjnego zarazem filtrowania nie tylko treści, leksyki, rozmaitych skracających środków wyrazu, takich jak elipsa, przerzutnia czy słowotwórstwo, ale także brzmień, rytmu, akcentuacji. Często do zrozumienia wiersza tego poety i zbliżenia się do ducha jego utworu nie wystarczy sam wiersz ani nawet znajomość jego idiopoetyki. Konieczna jest jakaś legenda. Dopóki poeta żył, można było go zapytać. Co jednak, kiedy już tylko patrzy na nas z góry i z pewnością niczego nie podpowie?

Pewnym wyjściem jest poszukiwanie wypowiedzi autora na temat konkretnych utworów. Zanim udało się cokolwiek odnaleźć, ukazały się następne wersje przekładowe, napisane przez równie znanych i wspianych tłumaczy.

Oto one:

Czerwona taczka²⁶

*Tak wiele zależy
od*

*czerwonej
taczki*

²⁵ A. Kamieńska, *Pochwała niemożliwości*, „Literatura na Świecie” 1972, nr 12, w: E. Balcerzan, E. Rajewska, *Pisarze polscy o sztuce przekładu 1440–2005*. Antologia, Poznań 2007, s. 258–261.

²⁶ Przeł. J. Hartwig, w: W.C. Williams, *Spóźniony śpiewak*, Wrocław 2009.

*lśniącej
po deszczu*

*obok białych
kurcząt*

★

Czerwona taczka²⁷

*Tak wiele zależy
od*

*czerwonej
taczki*

*polewanej
deszczem*

*obok białych
kurcząt*

Łatwo zauważyć, że utwory te różnią się tylko w 5. i 6. linijce. To chyba jedyne miejsce wiersza, w którym dopuszczalna jest pewna dowolność leksykalna. Istnieje kilkanaście synonimów, które mogą tu funkcjonować. W odróżnieniu jednak od przekładu Engelkinga, tutaj dbałość o sylabizację i rytmizację jest mniejsza. Nadal niepokoi to, że w języku angielskim wiersz rozumie się zdecydowanie lepiej. Po polsku (w dotychczas przytoczonych wersjach) jest w gruncie rzeczy zakodowany tak, że staje się całkowicie niejasny. Dotyczy to szczególnie pierwszej linii. Co to znaczy, że „tak wiele zależy od”? Co „tak”? Co „tak wiele”? Czy na pewno autor ukrywa przed czytelnikiem swoje intencje? Może jednak jest inaczej? Andrzej Bogusławski w swoich pracach translatologicznych – omawiam jedną z jego tez w największym skrócie – zwraca uwagę na to, że przekład czysto kognitywny przedstawia to, co znajduje się w oryginale zgodnie z tekstem tego oryginału, natomiast przekład praktyczno-kognitywny przedstawia to, co znajduje się w oryginale, ale za pomocą ekwiwalentów po stronie odbiorcy.

²⁷ Przeł. P. Sommer, „Literatura na Świecie” 2009, nr 1-2, s. 219-220.

W tej drugiej fazie przekładania zachodzi proces homogenizacji oryginału i przekładu. To o takim działaniu mówimy, że zbliża się do kongenialności. O tym pisała cytowana wyżej Anna Kamińska. Muszą jednak – pisze Bogusławski – zostać zachowane warunki prawdziwościowe: przekład powinien zawierać to, co naprawdę zostało powiedziane, to, czego można się dowiedzieć bezpośrednio ze zdania, a więc nie z cech autora wypowiedzi ani nie ze znajomości jego idiolektu, ani także z idiolektu czy wyobrażeń tłumacza²⁸. To ważna wskazówka. Odbiorca podanych wyżej przekładów ma prawo mieć poczucie, że któryś z warunków nie został spełniony.

Co zatem powiedział Williams w pierwszej linijce wiersza? O który warunek szczegółowy chodzi?

Poszukiwania źródeł tajemnicy dały rezultat dopiero wtedy, kiedy udało się dotrzeć do pracy Sergia Rizzo o *Czerwonych taczkach*²⁹. Rizzo pisze, że William Carlos Williams w artykule *Seventy Years Deep* w czasopiśmie „Holiday” (1954) przedstawiał siebie jako poetę dla ludu. Podtytuł od redakcji prezentował go jako lekarza, który stał się największym żyjącym poetą amerykańskim i który swoje sukcesy wiąże z tym, czego nauczył się od ludzi w domowym gabinecie w Rutherford w stanie New Jersey. Poeta opowiedział, jak powstał wiersz *Czerwone taczki*:

To się wzięło z przywiązania do starego Murzyna nazwiskiem Marshall. Był rybakim, łowił morlesze niedaleko Gloucester. Czasem mi opowiadał, jak musiał pracować w czasie mrozów, stojąc w ładowni po kostki w kruszonym lodzie i układając ryby. Aż do niedawna wcale nie odczuwał zimna. Kochałem tego człowieka niemal tak samo jak jego syna Milтона. W ogródku za jego domem zobaczyłem czerwone taczki otoczone przez stadko kurcząt. Myślę, że do napisania tego wiersza w jakiś sposób pchnęły mnie uczucia do tego starego człowieka.³⁰

Rizzo komentuje to następująco:

„Historia z Marshalllem pomogła Williamsowi w zilustrowaniu tezy, że jako lekarz pomagał wszystkim ludziom bez różnicy i że jest z tego dumny. Niejako przy okazji pojawiła się jednak ważna informacja biograficzna: związek między osobą Marshalla i *Czerwonymi taczkami* jest mianowicie dowodem

²⁸ Por. A. Bogusławski, *Podstawy konfrontatywnej lingwistyki przekładowej*, Łask 2013.

²⁹ S. Rizzo, *Remembering Race: Extra-poetical Context of the Racial Other in „The Red Wheelbarrow”*, „Journal of Modern Literature” 2005, t. 29, nr 1, s. 34-54. Przeł. P.M.N.

³⁰ Ibidem.

na to, że funkcje lekarza i poety zrosły się w Williamsie w jednolitą całość, w której pacjenci dają pożywkę muzie poetyckiej”.³¹

I również dla nas jest to ważne. Jeśli było tak, jak to opisywał sam poeta, to pierwsza linijka wiersza nie mogła być zaplanowana jako enigmatyczna. Musiała zawierać jakiś konkret. Ten konkret powinien się ujawnić na zasadzie warunku prawdziwościowego: albo należy oddalić się od wiersza, jak zalecała Anna Kamieńska, by móc się do niego zbliżyć (co uczynimy przy linijkach 3. i 4.), albo poszukać ekwiwalentu językowego po naszej stronie, jak wskazuje Andrzej Bogusławski (co uczynimy przy linijkach 1. i 2.).

Z pomocą przyszedł przypadek, jak zwykle w sztuce. Rzeczą artysty jest tylko umieć go zauważyć i wykorzystać. Oto banalne zdarzenie. W związku z przygotowaniem do Mistrzostw Europy w Polsce w roku 2012 wydrukowano plakaty z następującym tekstem witającym kibiców z zagranicy: *Feel like at your home* (co miało niby znaczyć 'Czuj się jak u siebie w domu'). Znawcy angielskiego zareagowali szyderstwami. Tekst polski był dosłownie przeniesiony na angielski i dla obcokrajowców musiał brzmieć dziwnie, jeśli nie śmiesznie. Poprawnie powinno być *Feel at home*, o wiele krócej, niż wydawało się domoroślemu tłumaczowi z komitetu organizacyjnego mistrzostw.

To nasunęło mi myśl, że słowa *so much depends on* (w kontekście przytoczonej wyżej wypowiedzi Williama o Marshallu) w rzeczywistości są skrótem myślowym (tak charakterystycznym dla Williama, a oczywistym dla native speakerów) i zawierają znaczenie kierujące w stronę dominanty semantycznej 'być pewnym czegoś' lub 'być ważnym' wraz z komponentami 'odpowiedzialność' i 'wpływ', a nie samo osłabione, 'mieć wpływ na coś', bo to wtedy przesłania wyżej podane wymagalne komponenty sensu. Ostatecznie pierwsze dwie linijki należałoby przetłumaczyć raczej jako:

*tak bardzo ważny
jest*

I dopiero to daje efekt oczekiwany i niezaskakujący niejasnością.

Osobnym zagadnieniem jest następna para linijek. Leszek Engelking w swoim przekładzie próbował osiągnąć liczbę sylab odpowiednią do rytmu oryginału i przerzutni zastosowanej wewnątrz słowa *wheelbarrow* (*wheel/barrow*). Byłaby to realizacja reguły brzmieniowej Williama. Uzyskanie takiej zgodności w tak krótkim tekście między językami polskim

³¹ Ibidem.

i angielskim wydaje się jednak fizycznie niemożliwe. Można natomiast próbować manipulacji akcentami zdaniowymi. Przecież wyraz *wheelbarrow* jest zrostem (*kółko* + [*wózek, taczka*] = *wózek* z [jednym] *kółkiem*), co poeta wykorzystał do zastosowania przesunięć akcentowych i przerzutni. Dlaczego nie mielibyśmy przetłumaczyć tekstu (tym razem) dosłownie (a więc nawet zgodnie z intencjami autora?) i użyć nie „taczek”, ale „wózka z kółkiem”? Że chodzi o taczki, informuje tytuł.

Pozostaje jeszcze tylko użycie filtru kolorów, wyszukanie odpowiedników synonimiczno-sylabicznych dla linijek 5. i 6. i otrzymujemy następujący wynik, podsumowujący nasze dociekania:

Czerwone taczki

*tak bardzo ważny
jest*

*czerwony wózek
z kółkiem*

*iskrzący wodą
deszczu*

*obok tych białych
kurcząt*

W ten sposób prawdopodobnie udało się uzyskać tłumaczenie poprawne, a może nawet kongenialne, to jest bliskie oryginałowi zarówno ze względu na formę, jak i znaczenie, które w języku docelowym jest niemal identyczne z oryginałem. Nigdy jednak nie można mieć pewności, że dzieło tłumaczenia jest skończone, ani – tym bardziej – że naprawdę jest dobre. Nawet jeśli chodzi o utwór tak drobny, krótki niczym sekunda. Nie chwalmy tego więc pochopnie. Autor przekładu nie zamierza się zresztą z tym obnosić, nawet jeśli uzyskał efekt zadowalający. Rzecz przynajmniej chwilowo satysfakcjonuje, ale można ją odłożyć do poczekalni, do następnej rewizji. William Carlos Williams mimo szalonego upływu czasu zupełnie nie w niczym się nie postarzał (przecież nie chodzi o pochylenie sylwetki i zmarszczki czy nawet odejście materialne), ale wielu po cichu uczy się od tego mistrza, wciąż żywo obecnego. Próbuje go prześcignąć, zająć jego miejsce. Nie jest łatwo.

Piotr Müldner-Nieckowski

